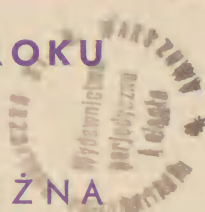


ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 6. 9 LUTEGO 1935 ROKU

WESOŁA BITWA ŚNIEŻNA
PRZED KĄPIELĄ W PRZERĘBLU



CENA 1 ZŁ.





LILIAN HARVEY



wyrusza po nowe laury do Hollywood

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA

ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92

ŁÓDŹ,

ul. Dowborczyków 9, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.

Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.

Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie” – Zapisujcie się na członków L. O. P. P.!

Bawełna do ce-
rowania i nici „**TRZYLILJE**”

KRAJOWY PRZEMYSŁ NICIANY. WARSZAWA.

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH,
UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ
OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB
ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE
„**SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA**”
GAŚCICKIEGO (z KOGUTKIEM.)



MEBLE

gwarantować może tylko własna wytwórnia. Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony, machoń 10 sztuk 220. Złoczone, orzechowe, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otmiany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93 (firma chrześcijańska).

**WYTWORNY
GARNITUR**

ŚWIADCZY O
DOBRYM
SMAKU
GENTLEMANA



A. Zaremba

WSPÓLNA 36

EUNICE SHAMPOO Karpińskiego

dobrze zmywa skórę i włosy
zwalcza skutecznie łupież
czyni włosy puszystymi
chroni włosy od zciemnienia
ma 5 subtelnych zapachów



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 6

9.II.1935

ZBIGNIEW GRABOWSKI

NIEMCY HITLERA

I.

Heroiczny okres hitleryzmu, okres gorączkowego wrzenia i zapowiedzi, parad i hałasu — zakończył się. Oto wniosek, który gruntuje się i umacnia w mózgu człowieka, który przejechał Niemcy na rozległej trasie wielu setek kilometrów: Olsztyn — Berlin — Essen — Duisburg — Düsseldorf — Aachen — Stuttgart — Norymberga — Drezno — Opole — Bytom.

Nie jest to nic nowego, nie jest to żadna rewelacja. Jest to tylko naoczne potwierdzenie słów, jakie wypowiedziane zostały już znacznie wcześniej przez — samego Adolfa Hitlera, zaznaczającego w jednej z mów, że „rewolucja nacjonal - socjalistyczna już się skończyła”. „Führer” zdawał sobie sprawę, że byłoby rzeczą niebezpieczną popuścić zbyt długo cugli powszechnemu entuzjazmowi i paraderstwu. Niemiec pożąda silnej władzy, łaknie jej niemal fizycznie — ujęcie w „drill”, objęcie myślenia przez kogoś innego napawa go uczuciem rzetelnej satysfakcji.

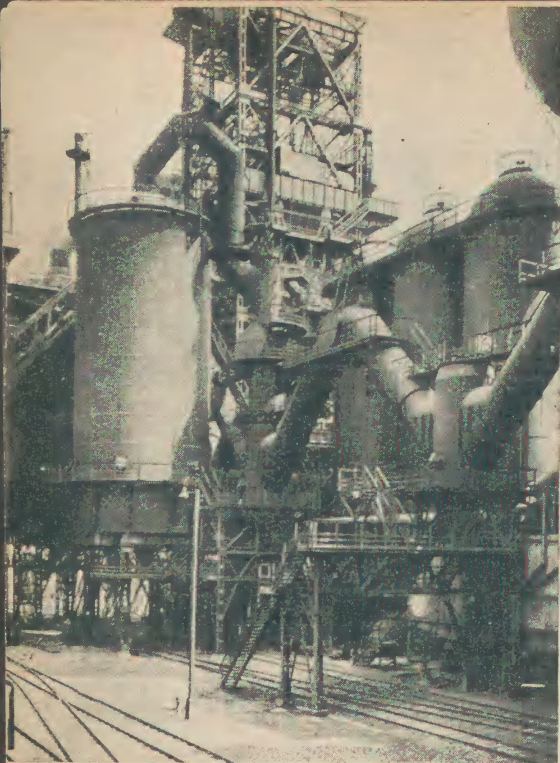
Okres tego kipienia, profuzji słów i parady zakończył się. Zaczął się dzień powszedni: „der graue Alltag”. Zwłaszcza Berlin poddał się szybko temu ostygnięciu atmosfery, temu przejściu w dzień roboczy. Mało uświadczysz tu mundurów, mało podniesionych rąk — mało nastroju święta. Passa uroczystości przeciąga jeszcze prowincją, gdzie zawsze pewne formy zewnętrzne trwają dłużej. W Norymberdze czy Olsztynie, w Sztutgardzie czy Opolu napotkałem żywe echo

tych wszystkich spraw, tego heroicznego okresu, który tworzył swoją legendę, swoich patronów, swoich świętych.

Ruch hitlerowski, — jedno z najciekawszych zagadnień zbiorowych, jakie nam dała doba obecna, specjalizująca się w ruchu mas i poddaniu jednostki masie — ustabilizował się, chce pokojowo wnikać w głąb. Widać to na każdym kroku. Stara się on pochwycić w swoje ręce i zmonopolizować wszelaką akcję i inicjatywę społeczną i trzeba przyznać, że na wielu punktach ma do zanotowania wielkie zdobycze. Oto taka „Winterhilfe”, pomoc zimowa dla biednych, której aparat propagandowy jest doskonały. Ta „WH”, jak się w skrócie nazywa, woła do nas w każdym punkcie Niemiec z napisów, plakatów, wezwań, fotografii. Apeluje do nas puszkami, składkami. I w rezultacie przynosi wiele milionów. I olbrzymie zapasy żywności na przetrwanie zimy.

Niemcy są dzisiaj pełne powagi. Berlińska zabawa nocna przepadła, jak sen. Wszelkie kabarety upadły na duchu, rewje są budujące, a girlsy źle zbudowane, słynne nocne lokale tchną nudą. Czuje się, że wszystko to należy do przeszłości. Niemcy nie mają dziś głowy do tych spraw.

Tak, napięta powaga, oto nuta, która najbardziej może zanotowała się w mej pamięci, jako ogólne wrażenie z Niemiec. Powaga widnieje w twarzach szturmowców, powaga w młodych twarzach harcerzy, którzy odbijają obcasami



Zakłady Kruppa w Essen

bruk. Czuje się w powietrzu brzemienne zdarzenia, czuje się, że każda godzina dokonuje jakichś bardzo ważnych ruchów i przesunięć.

Bo wydaje mi się, że dzisiaj nikt nie wie w Niemczech poza samym „Wodzem”, co właściwie będzie. Poza nim i poza — może — Goebbelsem. Przecież Hitler jest dzisiaj *źródłem wszelkiej władzy i prawa*, przecież on wziął na siebie trudne zadanie „czystki” swej partji.

Dzisiaj odwołuje się do Berlina Helmutha Brücknera, wielką figurę Śląska Opolskiego; w Opolu jest dalej jeszcze ulica jego imienia. I oto okazuje się, że Brückner — tę oddawna lansowaną pogłoskę potwierdziła już dzisiaj oficjalnie cała prasa za Niemieckim Biurem Informacyjnym (DNB) — jest umysłowo chory. Brückner nie wróci na swoje stanowisko, będzie leczyl się w sanatorium. Żona jego otrzyma zaopatrzenie.

Niemcy są w stanie wielkiego oczekiwania. Czujemy tę dynamikę oczekiwania niemal że pod brukiem. Wiemy, że dzikie wprost energie wprawione są w ruch. Wiemy, że poza oświadczeniami generała Blomberga o „zabawie w armję” przez oddziały hitlerowskie kryje się tragedia tych właśnie oddziałów, które wyniosły na swych ramionach władcę dzisiejszego. Wiemy, że w sumieniu Hitlera muszą się rozgrywać potężne konflikty: pogodzenie Reichswehry, pamięta-

jącej wiele rzeczy, choćby tylko gen. Schleichera — z jego rewolucją nacjonalistyczną.

Mussolini wyrastał ponad swoich towarzyszy marszu na Rzym olbrzymio. Hitler szedł do władzy powoli i zbyt wielu miał *wspólników* zwycięstwa. Zbyt wielu konkurentów. Utrzymanie tego wszystkiego w ryzach wymaga już niebywałej siły nerwów.

Na tę grę wewnętrzną Niemiec patrzeć trzeba z powagą i spokojem. Ironiczne pokpiwanie z takich czy innych przejawów wielkiego ruchu mogą praktykować tylko ludzie, którzy Niemiec nie widzieli. Nie widzieli tego, jak ruch ten zawładnął młodzieżą i jak porwał ją. I to jest zrozumiałe: jest to ruch apelujący do wyobraźni, ruch młodości i rozmachu, ruch wielbiący energję. Młodzież nie mogła pozostać na boku. I trzeba z zastanowieniem i rozważą spojrzeć na liczne dokonania realne tego ruchu. Zastanowić się nad wznoszonymi gmachami, nad trasowaniem drógami, nad rzucaniem nowych linii kolejowych. Trzeba patrzeć z otwartymi oczyma na to wszystko, co się widzi — i czego się nie widzi. Bo dla przybysza przelatującego przez Niemcy z wielu względów wiele rzeczy musi pozostać w ukryciu. Pozostają one w ukryciu nie-raz i dla tych, co tam siedzą latami. Chodzą tylko głuche wieści, że

wyrabia się to, to wynaleziono, taki nowy środek walki chemicznej, że produkcja stali...

Wielka gorączka biegnie żyłami Niemiec. Proces nie jest skończony. Nie—on się dopiero zaczął. Zszedł poniżej poziomu widowisk, rewij, masówek — trawi teraz organizm potężnego narodu, który naprzekór niechęci wielkiej części narodów europejskich wierzy w to, że jest narodem osobliwym i wybranym. Co więcej — niechęć ta, akcentowana np. ostatnio przez Anglję, umacnia tylko tę wiarę. Niemcy przeżywają renesans swojego mesjanizmu, który od czasów wojny leżał w ruinie. Trzeba uważnie śledzić koleje tego mesjanizmu. Nie jest to mesjanizm polski: cierpienia i uległości. Mesjanizm niemiecki uznaje, że trzeba było cierpienia i poniżenia — ale tylko poto, ażeby dźwignąć się jeszcze mocniej, jeszcze wyżej.

Dyscyplinowany naród niemiecki wytrzyma, chociażby nawet cierpiał chwilowo takie czy inne braki, choćby nawet przeżywał wahania waluty. Jest bowiem narodem, gdzie mistycyzm krwi, gdzie hasła krypto-religijne: religji narodu i rasy znajdują posłuch i głębię podatną. Dlatego ten naród pracuje, walczy, wierzy. Nie wolno tego lekceważyć. Kto bagatelizuje prężność Niemiec—czyni wielkie głupstwo.



Stuttgart — nowoczesne gmachy w centrum miasta

WALKA O SZKOŁĘ POLSKĄ

Przed trzydziestu laty studenci i sztabacy, dziś panowie pod pięćdziesiątkę, wówczas „buntownicy”, teraz w niepodległym własnym państwie ludzie na stanowiskach publicznych lub prywatnych, a na tle tych zasadniczych przemian — jeden niezmienny duch — oto w kilku wierszach streszczone pierwsze wrażenie ze Zjazdu uczestników walk o szkołę polską.

Kilkanaście godzin, spędzonych razem na zebraniach dyskusyjnych i towarzyskich, przeniosło nas w dawne czasy, w te pamiętne dni styczniowe i lutowe 1905 roku, kiedy młodzież opuściła szkoły, jawnie dając wyraz swej niezłomnej woli studjowania w szkole polskiej w Polsce. Nastąpiło kilka lat trudności niezwykłych: konieczność organizacji prywatnego szkolnictwa własnymi siłami nie tylko bez pomocy państwa, ale wbrew państwu, konieczność obrony szkoły prywatnej nawet przed swoimi, gdyż niebrakło ludzi z tych czy innych pobudek przeciwnych strejkowi szkolnemu, wreszcie konieczność znalezienia formuły, umożliwiającej strejkującym otrzymanie dyplomów państwowych i zarabkowanie — wszystko to okazało się możliwe do przezwyciężenia i dało społeczeństwu naszemu bodziec do pracy o własnych siłach, do liczenia tylko na siebie. Działali młodzi, ale ówczesne wypadki na terenie szkół wyższych i średnich wywarły głęboki wpływ na psychikę star-

szego pokolenia i raz na zawsze przecięły drogę odwrotu do ugody z wrogiem.

Fakt napozór niewielki, wystąpienie kilkudziesięciu szkół męskich i żeńskich z protestem przeciw rusyfikacji, okazuje się w następstwach doniosły jako odgraniczający dwa okresy życia zbiorowego.

W atmosferze wspomnień, wytworzonej przez Zjazd, nie brakło i wspomnień osobistych. Jakże nie wspomnieć owej chwili — dnia 11 lutego 1905 roku, — gdy przypadł mi wielki, teraz dopiero w całej pełni oceniany przezemnie zaszczyt przemawiania w imieniu kolegów po polsku do dyrektora gimnazjum. Było to „u Chrzanów”, jak nazywaliśmy gimnazjum Chrzanowskiego, gimnazjum rosyjskie, chociaż prywatne i chociaż właścicielowi szlify generalskie nie przeszkadzały być Polakiem. Z radością wspominam ten dzień, nastrój, jaki wśród nas panował, skupienie i ciśnięcie w chwili, gdy koledzy: Zygmunt Czajkowski i Zygmunt Sznajder wręczali dyrektorowi tekst odczytanych mu naszych żądań.

Ale Zjazd nie pozwolił mi snuć spokojnie tych wspomnień. Przemówienia nawiązywały do przeszłości, ale się niemi nie zadowalniały: nie dla samych reminiscencji nas zwołano. Od pierwszego przemówienia prezesa Stan. Dobrowolskiego poprzez wszystkie mowy i dyskusje przebiegała troska o teraźniejszość i o przy-

szłość, o dziecko polskie w Polsce i poza jej granicami. Żywo poruszył wszystkich red. Stępczyński, podnosząc potrzebę ostatecznego zerwania z użyciem kary cięlesnej, której nie zna nasze wojsko, a z którą, niestety, spotykamy się jeszcze wśród wychowawców i wśród rodziców. To był jeden z najważniejszych momentów dyskusji co do stosunków wewnętrznych. Niemniej zainteresował zebranych prezes Hełczyński, któremu jako stojącemu na czele Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą przypadła rola generalnego referenta tej niezmiennie doniosłej i trudnej do rozwiązania kwestji: jak miljonowi dzieci polskich poza granicami Rzeczypospolitej zapewnić to, o co walczone przed trzydziestu laty i co stanowi niezbędną podbudowę narodowej kultury, szkołę polską?

Nie można zagadnienia tego pomyślnie rozstrzygnąć bez materialnych środków. Słusznie ci, którzy znali dawną ohydą szkołę pruską czy rosyjską, postanowili w swym gronie dokładać wszelkich starań, by środki te powiększać i by materialnie i moralnie wspierać tych, którzy nie uważają za skończoną walki o przyrodzone prawa dziecka do nauki w mowie ojczystej i którzy walkę dalej — oby z jak najlepszym skutkiem — prowadzą.

Opuszczaliśmy Zjazd pod hasłem: pomoc dla **FUNDUSZU SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ!** Konto ciekawe P. K. O. 21.895.

W. Olszewicz.

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY*)

W polskim świecie naukowym wydarzył się doniosły fakt: pojawił się pierwszy zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego, przyoblekając wreszcie w realny kształt wspaniałe przedsięwzięcie, podjęte przez Polską Akademię Umiejętności.

W pełnym poczuciu powagi i ważności zadania przez kilka lat obmyślano organizację wydawnictwa, zbierano materiały, dyskutowano nasuwające się problemy dotyczące układu i rozplanowania biografij. Czytelnik otrzymujący do rąk zeszyt Słownika nie zdaje sobie pewnie dostatecznie sprawy, ile jego wydanie wymagało zabiegliwej i mozolnej pracy legjonu uczonych, studentów, skrzętnych poszukiwaczy archiwalnych — ile tu zadano sobie trudu, aby wydawnictwo postawić wzorowo, aby uczynić je możliwie najpełniejszym, by nie pominąć nikogo, komu się w Słowniku miejsce należy, i ustrzec się jednocześnie od wprowadzenia doń osób zbędnych. Ile tu potrzeba naukowego, bezstronnego krytycyzmu, jakiej odpowiedzialności sądu.

*) Polski Słownik Biograficzny. Kraków 1935 r. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Tom I. Zeszyt I.

Komitet Redakcyjny został utworzony z uczonych polskich działających na terenie środowisk uniwersyteckich, prócz tego powołana została Rada Słownika, złożona z reprezentantów towarzystw i instytucji naukowych. Ponadto zostały powołane w ważniejszych środowiskach naukowych Komitety Regionalne.

Pierwszą — i zasadniczą zarazem sprawą, którą podjęto, było utworzenie kartoteki nazwisk mających się znaleźć w Słowniku. Prace te według kompetencji podzielono między specjalistów odpowiednich działów. Powstawały więc osobno kartoteki wojskowych, lekarzy, przyrodników, literatów, uczonych i t. p.

Z setek nazwisk wydobytych na światło dzienne Komitet Redakcyjny wybiera tylko te, które odegrały rzeczywistą rolę w naszym życiu, i powołuje odpowiednio uzdolnionych fachowo autorów do napisania życiorysów.

Chcąc uniknąć dowolności oceny nie opierającej się na ściśle określonej argumentacji, wypracowano uprzednio, na zasadzie ankiety, rozesłanej między najpoważniejszych przedstawicieli naszej nauki, pewne kryteria kwalifikujące.

Ustalono ponadto nawet formę obowią-

zującą piszących odnośne artykuły, zalecono zwięzłość, rzeczowość, podawanie najważniejszych momentów z życia, ostrzeżono przed zbytnią literackością ujęcia, przed moralizatorstwem, lub ujawnieniem swych przekonań politycznych czy społecznych. Dla zapewnienia też daleko idącej bezstronności postanowiono pomieszczać tylko życiorysy ludzi zmarłych. Wiele dyskusji wywołał sam układ artykułów i podział Słownika na tomy; po wahaniach postanowiono Słownik wydawać systemem angielskim, wzorowanym na pomnikowym w tym względzie wydawnictwie „Dictionary of national Biographies”, to znaczy alfabetycznym, z tomami na końcu uzupełniającymi, zawierającymi bądź nazwiska pominięte przez przeoczenie, — przybyłe w czasie druku, bądź też nazwiska osób, które zmarły w okresie preliminowanym na tę pracę (lat 25).

W taki więc sposób, dzięki inicjatywie najpoważniejszej w Polsce instytucji naukowej, przy udziale setek ludzi powstaje pomnikowe dzieło, odbijające jak w zwierciadle polską kulturę.

Artykuły w niem zawarte zainteresować mogą i powinny nie tylko uczonych, ale i wszystkich czytelników inteligentnych.

J. Puciata-Pawłowska.

MEDALJON CIEŁĘCY

Siedzieliśmy w restauracji, spokojnie, mówiliśmy o rzeczach obojętnych i wybuch — przyznaje — nastąpił trochę nieoczekiwanie. Kolega — literat, nazwijmy go byle jak — Dyzio, spojrzął na jadłospis, dostrzegł coś, uśmiechnął się boleśnie, gorzko, zadzwonił, uderzył nożem w talerz gwałtownie.

— Da mi pan — powiedział ze łzą w głosie kelnerowi — *medaljon cielőcy* z groszkiem.

A gdy mu ów „medaljon“ przynieśli, uśmiechnął się jeszcze boleśniej:

— *Jedynę odznaczenie*, jakie posiadam... Wyobraź sobie, wszystkie nagrody literackie mnie ominęły! A jest ich przecież tyle: dla młodych, dla starych, dla jarych, dla podtatusiałych, dla niezależnych. Za dramat, za powieść, za działalność, za tłumaczenie. Są nagrody warszawskie, łódzkie, zakroczymskie, dziecięce, państwowe, prywatne, komunalne, gminne i z Zagłębia. Nic! Co pewien czas budzą nagle człowieka po nocy, jak za czasów rosyjskich. Alarm! Rewizja! Pokazać papiery, polot wyobraźni, wznieść się na wyżyny! Spoczni! I znów: świat przygarnać do łona, sięgnąć, gdzie myśl nie sięga, język wzbogacić, obrót! I jeszcze raz: sięgnij do wnętrza trzew! zatargaj! Spoczni! Następny!

Dyzio westchnął, dziobnął melancholijnie widelcem sałatkę:

— Za lat szkolnych męczyło mnie to najbardziej, gnębiło, bolało, że zawsze się znalazł w klasie jakiś pilniejszy, obrotniejszy ode mnie, jakiś bestja prymus i wyłapywał wszystkie piątki, a mnie zostawiał słabe trójce. Przychodziłem — pamiętam — do domu, rodzice kiwali nade mną głowami, oglądali cenzurę, wzdychali żałośnie. „Nie możesz to sobie brać przykładu z Bledpruskiego albo Cynobera? Co z ciebie wyrośnie, chłopaku? Zastanów się!“ Zastanawiałem się, rzucałem to wszystko do „wielkiej frybry majowej“, wziąłem się do profesji wolnej, do pióra. Przez pewien czas żyłem jako - tako. Przetrwiałem złe czasy, ożeniłem się. Nagle — to samo! Przychodzę do domu, żona patrzy na mnie przez łzy. Już wiem, co to znaczy. Znów jakaś bestja Cynoberski czy Akwamaryński dostał nagrodę stowarzyszenia welocypedystów ideo-

wych, zaawansował na prymusa, gazety podają jego życiorys, aforyzmy, biurko i profil, a ja... Siedzę, jak siedziałem, na ostatniej ławce, znów zostałem na drugi rok... Nie odznaczyli... Co z ciebie wyrośnie? — myśli żona. Nie dali — obciąłem się!

Próbowałem go pocieszyć.

— Widzisz, Dyziu, mówię — czasy są okrutne, trzeźwe, racjonalne, co tu gadać — amerykańskie. Ludzie miękiego serca doszli do wniosku, że literat sam sobie nie da rady, że go tramwaj przejedzie na ulicy, albo autobus. Chcą go wziąć łagodnie pod ramię, nieboraka, chcą mu trochę dopomóc, niedołądze.

— Literat dzisiejszy nie jest wcale takim znowu niedołągą. Jest nas — braci piszącej — z tysiąc chłopów. Płacimy podatki — i to wyniesie na pewno lekko licząc z kilkaset tysięcy złotych rocznie — a kto nie płaci, to traci granatowy garnitur i meble, bo komornik przychodzi, pieczętuje, zabiera i licytuje. Jeżeli społeczeństwo pocziwe i gminy chcą nam z tej okazałej sumy kilka groszy zwrócić — zgoda, owszem. Stróż naszej kamienicy usunął się niedawno w zaciśnięcie życia prywatnego, wrócił na załog, na rolę, ale sprzedał przedtem miejsce i klucz od bramy następcy swemu za ...9 tysięcy złotych! Otrzymał zatem za działalność dotychczasową więcej od Hłakowiczówny. Ale — niech tam, wszystko jedno, dobra psu i mucha, chcecie — urządźcie loterię, wrzucicie nas wszystkich — od Askenazego do Żongołłowicza — do koła i niech sierotka jaka albo kanarek czy gołąbek wyciągnie karteczkę z nazwiskiem.

— Sam wiesz, Dyziu, że rzecz nie ma najmniejszego znaczenia. Taka sobie — niedorzeczna zabawa towarzyska, sądy, wybory, spory, dyskusje, życiorysy, plotki, złośliwości. Gra w cenzurowanego, kotyljon — nie warto o tem myśleć... Głupstwo. Czem się tu przejmować?

— Wiem! Rozumiem! Prus nie miał nagrody, Dygasiński. Jeden ze świętych pisarzy amerykańskich, późniejszy laureat Nobla, Sinclair Lewis, odrzucił ongiś nagrodę Pulitzera, bo doszedł do słusznego wniosku, że go taka pompa i ceremonia krępuje, onie-

śmiela, ośmiesza, że mu odbiera odwagę cywilną, zmniejsza celność i zasięg słowa. Literatura jest pewną misją, czasem trudną, niebezpieczną, odpowiedzialną. Pisarza nie można premjować, jak byka, koguta, indyka, jak się odznacza salceson i majonez na wystawie kucharskiej i dynię na wystawie ogrodniczej... To właśnie stale perswaduję godzinami mojej żonie. Ale — gadaj z kobietą! Powiada, że mąż Krysi ma, mąż Basi ma, brat Kasi dostanie. Na Żoliborzu niektórzy już mają po dwie nagrody literackie. W niektórych kamienicach co drugi lokator to laureat. A ja nic...

— Najzabawniejsze — ciągnął dalej Dyzio — że spotkałem niedawno tego Cynoberskiego, którego mi w latach szkolnych zawsze za przykład stawiali, prymusa — bestję. Był na posadzinie w jakimś urzędzie obrachunkowym, ale go zamroczyło, pomylił się w bilansie, wyleli go. Chodzi trochę obdarty, mam wrażenie, że się rozpił. I Bledpruski, drugi uczeń, fenomenalny, zbyt wiele nie zdziałał — ma kolekturę czy skład apteczny, wynalazł system brydżowy czy masę na świerzbę. Skarży się — nie idzie mu. Ma wzrok mętny, wytysiał, zdziadział... Żona go puściła kan-tem.

Kto wie, czy potomność nie obejdzie się równie bezceremonjalnie z prymusami literackimi, jak życie z prymusami gimnazjalnymi. Urządzi sobie własną superrewizję zaocznie, wtedy, kiedy już nas nie będzie na świecie. Da członkowi Akademii skład apteczny, a ucznia z oślej ławki wyciągnie na szczebel najwyższy; zrobi aptekarza z laureata i przyzna wawrzyn literacki aptekarzowi. Ale — gadaj z babą! Powiada, że Kalesoński jest nieśmiertelny, Majtkiewicz nim będzie w przyszłym roku, a ja siedzę trzydzieści lat w tej samej klasie, na tem samym miejscu — i nic! Nie awansuję! Co się to, u licha, stało na naszym podwórku literackim! Ktoś je napełnił rejwachem i wrzaskiem. Olimp jest chyba gorszy od Kercelaka!

Dyzio huknął pięścią w stół, aż brzękło.

— Panie, — rzekł do kelnera — nie zna pan jakiego cichego, spokojnego zajęcia, chciałbym zmienić zawód. I niech pan zabiera ten medaljon — straciłem apetyt. Znów kogoś nagrodzili — nie mogę wrócić do domu... Co ja memu dziecku niewinnemu powiem? Stróż mnie do bramy nie wpuści...



Pejzaże Stanisława Żukowskiego z Puszczy Świsłockiej

ETATYZM KULTURALNY

Jako dalszy ciąg dyskusji na temat Ustawy Bibliotecznej zamieszczamy ważniejsze wstępy listu, nadesłanego do Redakcji przez znaną działaczkę społeczną.

Przez pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości panowała u nas naiwna wiara we wszechmoc Państwa: zdawało się, iż wystarczy uchwalić odpowiednie ustawy, aby podnieść kulturę Polski na niebywałe wyżyny!

Po kilkunastu latach doświadczeń wiemy już, że ustawa, bardzo piękna na papierze, w życiu daje czasem rezultaty wręcz przeciwne zamierzeniom. Dlatego to — rzecz bardzo rzadka obecnie — obozy zwolenników i przeciwników projektu ustawy bibliotecznej nie pokrywają się bynajmniej z obozami politycznymi. Raczej można powiedzieć, że ludzie, mający doświadczenie w pracy kulturalno-oświatowej — a znający niewiarogodną wprost nędzę polskiej prowincji, — są zdecydowanymi przeciwnikami — zwolennikami zaś są „idealiści”, nie znający środowiska, dla którego ustawa jest przeznaczona i nie badający rozwoju życiowego eksperymentów już dokonanych. Przypomnę tu losy pewnych zamierzeń higieniczno-kulturalnych ministra spraw wewnętrznych: przed kilku laty wieś polska więcej wydawała na budowę budyneczków, mieszczących ubikacje, o których się nie mówi, niż na budowę szkół. W rezultacie, szkół brakuje — a budyneczki nieużywane w najmniejszym stopniu nie poprawiły warunków sanitarnych wsi...

Przysłowie francuskie mówi: „qui trop

embrasse, mal etreint”. U nas etatyzm podjął się znacznie więcej, niż wykonać może. Do niewątpliwych obowiązków Państwa należy to wszystko, czego nie może zrobić jednostka ani organizacja dobrowlna. Biblioteki mogą być zakładane i przez jednostki — a już ich zadania kulturalne organizacje dobrowolne spełniają napewno znacznie lepiej. Frazes o „zorganizowaniu na szeroką skalę przymusowego czytelnictwa” — jest tylko frazezem, któremu nie odpowiada żadna rzeczywistość realna. W chwili obecnej ściągnięcie dodatkowo około 100 milj. zł. z bezprzykładnie zubożałego społeczeństwa (2 zł. 65 gr. — trzydzieści kilka milionów ludności) jest czystą niemożliwością; przypuściwszy jednak, że uda się drańskimi środkami wydobyć kilkadziesiąt milionów — to można zorganizować przymusowy zakup książek; czytelnictwo jednak, kultura ogólna nic na tem nie zyska — raczej jeszcze ucierpi. Ustawa o przymusie nauczania powszechnego nakłada na państwo obowiązek dostarczenia ludności szkół i nauczycieli; państwo nie może spełnić tego obowiązku względem dzieci — więc... przyjmie nowe obowiązki względem dorosłych?...

Podatki i wszelkie kategorie przymusowych opłat publiczno-prawnych zabierają tak niewspółmiernie wielką część dochodu społecznego, że olbrzymia więk-

szość „obywateli” zmuszona jest „obywać się” bez wszelkich wygód i pońęt kultury. Projektowanie więc „poprawy interesów wydawców i przywrócenia normalnych stosunków z autorami” — kosztem ludności, wegetującej na dnie nędzy, zakrawa na cynizm!

Głód umysłowy budzi się dopiero po zaspokojeniu głodu fizycznego. Chłop, dla którego sól do ziemniaków często bywa niedostępnym zbytkiem, nie może odczuwać głodu książki. Natomiast zaspokojenie pewnego minimum dobrobytu wywołuje szybki wzrost potrzeb kulturalnych. Opowiadał mi niegdyś ś. p. Kasproicz, jak szybko wzrastały potrzeby kulturalne chłopów wielkopolskiego: w domach swoich krewnych i znajomych, średniozamożnych gospodarzy, spotykał nietylko pisma rolnicze, ale i kosztowne wydawnictwa ilustrowane. Tam książka była istotnie „potrzebą niezbędną” — bo zaspakajaną „obok pracy i chleba” wedle maksymy Sieroszewskiego — a nie *za miast*.

Niemniej zasadnicza jest kwestja, komu będzie powierzona opieka nad bibliotekami i czytelnictwem. Z okropnych doświadczeń ubezpieczalni wiemy, jak bardzo trudne jest przeprowadzanie ideowych założeń za pośrednictwem biurokracji. A przecie biblioteki gminne, które mają dotrzeć do najbardziej zapadłych zakątków, będą w jeszcze gorszym położeniu. Czy jesteśmy tak bardzo pewni, że typ Żołzikiewiczów już wygasł?...

Dr. M. Zawadzka.

SZTUKA I KULTURA FINLANDJI

(rozmowa z p. Helmi Krohn, wybitną pisarką finlandzką)



Kobieta finlandzka przy pracy.

Finlandja współczesna jest jednym z krajów, o których wiemy może najmniej, jeśli idzie o kulturę i sztukę współczesną. Jeszcze mniej o literaturze finlandzkiej, nie posiadamy bowiem dotąd niemal zupełnie przekładów.

To przede wszystkim spowodowało, że korzystam z gościny sekretarza Penklubu tamtejszego, bardzo wybitnej pisarki, pani Helmi Krohn, aby niezależnie od jej syntetycznego wykładu o Finlandji prosić ją o wywiad dla naszych czytelników. Pierwsze wrażenie żywo przypomina mi Sigridę Undset, u której spędziłem latem r. ub. jedno z najczarowniejszych popołudni. Ta sama majestatyczność postaci, duże, myślące, ciemne oczy i tyle prostoty w rozmowie, ile mistycyzmu spotkałem u dalekiej pułstelnicy w Lillehammer...

Pani Krohn, mimo obce brzmienie nazwiska, jest finlandką z krwi i kości, córką zasłużonego dla kultury swego kraju redaktora J. Krohna, twórcy prasy ilustrowanej w Helsinkach. Opowiada mi o swo-

ich pierwszych zainteresowaniach literackich, o „grzechach młodości”, jak nazywa kilka swoich wcze-

sných powieści. Unika szczegółów autobiograficznych, natomiast opowiada mi obszernie o życiu literackim i artystycznym Finlandji z lat ostatnich.

„Jesteśmy dumni, mówi mi do stojna rozmówczyni, że posiadamy kilku pisarzy o sławie światowej, jak Sillampaa lub Koskeniemi. Zwłaszcza pierwszy jest najsubtelniejszym wyrazicielem tęsknot naszych do niepodległości. Koskeniemi żywo interesuje się literaturą polską; jednym z tego wyrazów był jego źródłowy odczyt o Mickiewiczu na niedawnej Akademji dla uczczenia stulecia „Pana Tadeusza”. Przetłumaczył go pięknie młody pisarz finlandzki, Trast; dzięki temu tłumaczeniu znamy bodaj skrawek twórczości największego z romantyków polskich”.

Zapytuję o własną twórczość pani Krohn, niezrażony jej niezwykłą skromnością. Pani Krohn uśmiecha się jakby do siebie; po chwili namysłu pada odpowiedź: „Poza „grzechem młodości”, za który uważam swą twórczość powieściową, napisałam długi szereg prac biograficznych, mając na celu uwiecznienie naszych największych postaci literackich i artysty-



Wnętrze chaty finlandzkiej

cznych. Biografia, to mój żywioł, w którym czuję się najswobodniej. I... propaganda. Dużo podróżowałam, zwłaszcza w latach ostatnich. W samej Anglii udało mi się wygłosić 75 odczytów, na tematy, zbliżone do wygłoszonego wczoraj w Warszawie. Celem ich było zapoznanie zagranicy z naszą kulturą".

— Finlandja składa się, przerywam mej rozmówczyni, z granitu, lasów i wód — czy mamy wierzyć Taine'owi, znajdującemu odbicie ich w literaturze i sztuce?

„Odbicie to znajdzie pan najwyraźniej u naszych twórców poromantycznych, a zatem u Linnakoski i Aho; późniejsi, „wolnościowi“ — zwrócili się raczej ku folklorowi, jak Sillampaa. Erotyka znajduje w latach ostatnich coraz więcej wielbicieli. Króluje wśród nich najpoczytniejszy — Waltari. W muzyce, jeśli pan woli, mamy Sibeliusa — jego poematy, to mocne i piękne odbicie naszego kraju... On sam, to wielki i czarujący człowiek.

Zapytuję o innych twórców współczesnych, o Palmgrena, o uniwersytet w Helsinkach, na którym wykłada jeden z najsławniejszych slawistów, nasz dawny i wypróbowany przyjaciel, prof. J. J. Mikkola. Wspominamy jedną z ostatnich „entuzjastek“, panią Mailę Mikkolę, z którą łączy panią Helmi Krohn bliskie węzły koleżeństwa. Finlandja nie poznałaby ani Sienkiewicza, ani Orzeszkowej, gdyby nie jedyne ich przekłady, dokonane przez Mailę Mikkolę.

Finlandja, mająca, jeśli idzie o długie lata niewoli politycznej, tyle z nami wspólnego, interesuje się żywo nurtem życia kulturalnego w

Polsce. Niestety, na przeszkodzie stoja olbrzymie różnice językowe i absolutny brak tłumaczeń. Pani Krohn, jako sekretarka Pen-Klubu fińskiego, rzuca śmiało i praktyczną zarazem myśl stałej wymiany kulturalnej z Polską, podobnie jak istniejąca ze strony fińskiej — z Węgrami.

Ma żywą nadzieję, że Pen-Klub polski podejmie inicjatywę, aby zamiar ten uskutecznić.

Żegna się ze mną serdecznie, udając się wgłąb naszego kraju, do Krakowa i Zakopanego w poszukiwaniu „czwartego elementu“: — gór ośnieżonych i szczytów, których niestety granitowa Finlandja nie posiada.

Dziękując mojej rozmówczyni za tak chętnie udzielony wywiad, podzielam jej pogląd odnośnie konieczności bliższego poznania kultury intelektualnej Finlandji w zupełności.

Wł. Burkath.



Fiński typ ludowy



Nowy gmach parlamentu fińskiego



Smosarska, Zelwerowicz i Barszczewska

Fot. St. Brzozowski

TEATR NARODOWY

„Wielki człowiek do małych interesów” A. Fredry. Reżyserja A. Zelwerowicza, dekoracje i kostjomy T. Roszkowskiej i W. Ujejskiego.

Mało jest starych komedji polskich, któreby przy pozornej błahości tak wiele rzucały światła na niektóre przemiany społeczne, jak „Wielki człowiek do małych interesów”. Komedja obyczajowa z jednym aktem farsowym — bez penderji dysertacji historycznej tłomaczy w kilkadziesiąt lat po śmierci autora coś, czego Fredro w całej pełni sam nie dożył: powstanie nowej warstwy socjalnej — t. zw. „inteligencji” miejskiej pochodzenia szlacheckiego.

Jenialkiewicz — to nie oryginał, chodzący luzem, w jednym egzemplarzu. Jenialkiewicz — to protoplasta całej nowej kasty w Polsce, to człowiek, który dokonał przewrotu społecznego w naszym kraju. Małol i jałowy gaduła — przy wszystkich pozorach zapracowania — Jenialkiewicz Fredry chodzi dumny ze swych wyczynów, ze swych bezsensownych pomysłów, ze swej utracjuszowskiej gospodarki, ze swej roli opiekuna sierot, — opiekuna, który im przez głupotę niszczy majątki. Taki Jenialkiewicz w pewnym okresie swego życia przegadał zawsze swój majątek — a wtedy szedł do miasta... „piastować”. Oczywiście — piastować urząd. Jego pupile

czynili chętnie i z zapalem to samo: i tak narodziła się nasza ukochana biurokracja, kubek w kubek podobna do Jenialkiewicza wraz z jego jałowymi dysputami, sążnistymi rozprawami o niczem, jego kurzą ślepotą, niewiarogodną lekomyślnością i stosami niepotrzebnych papierków.

Jest inna jeszcze cecha naszej szlachty, podkreślona może z pewną szarżą w znakomitym akcie czwartym tej komedji. Widzimy tam ilustrację jednego z najmniej sensownych powiedzeń w Polsce: „Gość w dom, Bóg w dom”. Poczciwy młodzieniec, który ma do załatwienia dwie sprawy niecierpiące zwłoki: spotkanie z ukochaną i staranie o posadę — nie może od rana wyjść z domu. Nie może, bo mu nie pozwalają się ubrać najmiłsi goście, spadający mu na kark bez przyczyny i bez celu. Można by przypuszczać, że to farsowa przesada, że tak nigdy nie bywało, a tembardziej nie bywa obecnie. Pojeźdźcie do znajomych na wieś, a zobaczycie.

Ale i dzisiejsze życie w mieście jeszcze nie bardzo różni się pod tym względem od staropolskich, ziemiańskich obyczajów. Wszyscy znamy ludzi, którzy nietylko cudzego domu, ale i miejsca pracy nie uszanują, i wstępują „tak sobie” na pogawędkę, z nudów, nie zważając wcale, że człowiekowi współczesnemu, a więc człowiekowi pracującemu, zabierają to co jest wogóle najdroższe i bezpowrotne: zabierają mu czas. Fredro, do szpiku kości polski szlachcic, znał z własnego doświadczenia rozkosze gościnności — to też najście odwiedzin u Dolskiego jest jednym z najzabawniejszych momentów tej sztuki.

„Wielki człowiek do małych interesów” znalazł w Teatrze Narodowym znakomitą oprawę i świe-

tnych odtwórców. Zelwerowicz jako reżyser nadał komedji nowy smak przez przesunięcie jej ku grotesce, a dekoratorzy i twórcy kostjumów — Roszkowska i Ujejski — zrozumieli intencje reżysera i stworzyli odpowiednio zabawne kostjomy i dekoracje.

Zelwerowicz — aktor dał może Jenialkiewicza zbyt sympatycznego: za poczciwy, zbyt miły, a niedość matołkowaty. Ale i w tej formie był Jenialkiewicz postacią znakomitą.

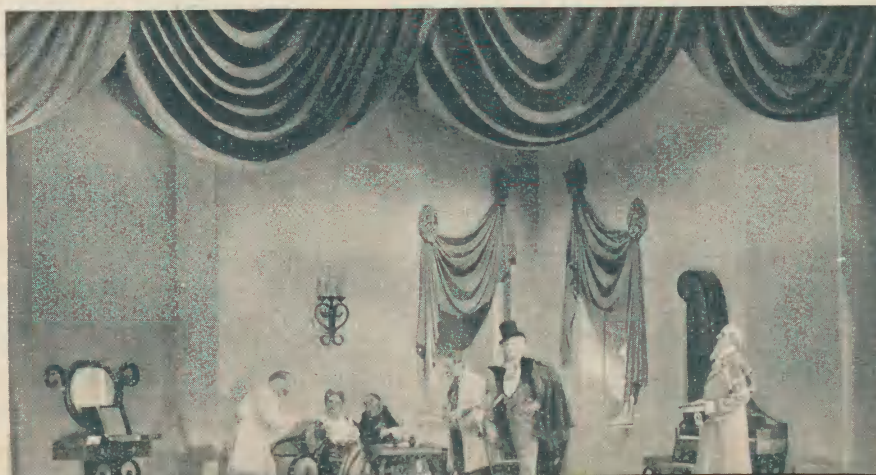
Figurą równorzędną jest Dolski, nieśmiały młodzieniec, aspirujący dość bezradnie do uczuć panny Anieli i do „piastowania” posady w Towarzystwie Kredytowem. W chwili gdy się nieśmiały młodzieniec rozruszał — w akcie najścia gości — Maszyński był niezrównany. Narastanie w tym zahukanym poczciwcu wściekłości i buntu aż do chwili wybuchu oddane było z tak świetnie stopniowanym crescendo, tempo słów i gestów stało się tak zawrotne, a wyładowanie nagromadzonych uraz tak wymowne i komiczne, że zupełnie słusznie przyjęto ten akt ogłuszającymi oklaskami.

Reszta wykonawców stała najzupełniej na wysokości zadania. Czarująca była Smosarska w roli czupurnej Matyldy, swobodna, pełna finezji i naturalnego wdzięku. Grabowski w epizodycznej roli wywołał wybuchy śmiechu samą swą aparycją, Fritsche z niedużej roli starego domownika zrobił żywą i charakterystyczną postać. Barszczewska wyglądała bardzo ładnie, Pawłowski i Sawan dobrze odegrali role młodych kompanów Dolskiego, a Hajduga, Małkowski i Łapiński wnieśli dużo ruchu i humoru. Jako całość — przedstawienie fredrowskiej komedji należy do najlepszych, jakie widzieliśmy w bieżącym sezonie.

Z. N. Ch.

Najście nieproszonych gości —

Małkowski, Maszyński, Łapiński, Grabowski, Hajduga, Zakrzewski.



„DZIADY“ W TEATRZE POLSKIM

Dziwne są koleje, które przecho-
dziły „Dziady“, wystawione w Te-
atrze Polskim. Po kilku dniach
chłodnego „succès d' estime“, kie-
dy widownia świeciła pustką, zda-
wało się, że trzeba będzie zdjąć je
z afisza, bo poprostu nie było dla
kogo grać. Dyrekcja jednak uznała
słusznie, że wielki wysiłek, który
w to przedstawienie włożono, nie
może iść na marne. Postanowiono
utrzymać „Dziady“ na afiszu. Zni-
żono ceny biletów do połowy, po-
czątek spektaklu naznaczono na
godzinę siódmą, i zaczęto grać ar-
cydzieło Mickiewiczowskie co dru-
gi dzień, naprzemian z komedią
francuską „Pan Topaz“.

I cóż się okazało? „Dziady“ roz-
namiętniły widownię. Jest na nich
stałe przepełnienie, publiczność
reaguje niezmiernie żywo — sło-
wem pozycja, którą uważano za
propagandę „dla honoru domu“
przeistoczyła się w jeden z najwię-
kszych sukcesów sezonu. Może ro-
zumne posunięcia administracyjne
dokonały tego cudu — a może po-
prostu trafiła wreszcie na „Dzia-
dy“ ta publiczność, która z począt-
ku ociągała się jeszcze: publicz-
ność nowa, młodzież, kulturalnie
świeża warstwa pół-inteligencji,
rzemieślnicy, etc.

Istnieją rzesze ogromne, które
„Dziadów“ z czytania nie znają.
Z braku czasu, czy z braku zainte-
resowania — wszystko jedno.
Wzięcie książki do ręki, wysiłek
umysłowy potrzebny do wniknięcia
w myśl twórcy — nie są tym lu-
dziom dostępne. Natomiast teatr
jest dla nich zrozumiały. W tea-
trze obcowanie ich z „Dziadami“ —
bardziej wizualne niż myślowe —
jest łatwiejsze.

Jeśli w tym celu wystawiono
„Dziady“ — to przyznać trzeba,
że osiągnięto go w całej pełni.
Choć nie znaczy to wcale, aby zo-
biono z „Dziadów“ przedstawienie
popularne. Wielki talent reżyserski
Schillera dał „Dziadom“ ujęcie tak
swoiste, tak dalekie od dotychcza-
sowego szablonu, że raczej oczeki-
wać należało, iż dawni fanatycy
„Dziadów“ przyjdą je oglądać w
nowej inkarnacji, chociażby dla po-
równania z tem, jak grano to mi-
sterjum dawniej.

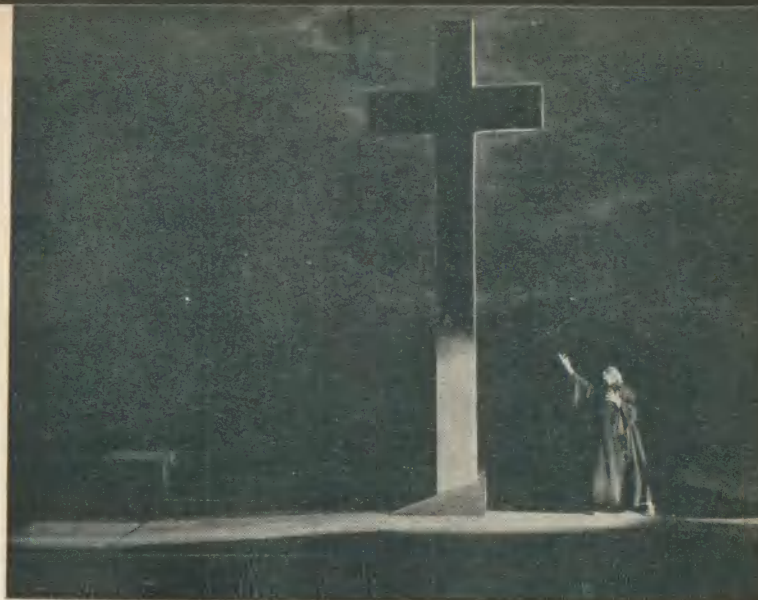
Świeżość ujęcia, jaką odznacza
się reżyserja Schillera, przetworzy-
ła wiele pozycji, które zdawały się
już raz na zawsze ustalone. Węc
np. nie pokazano nam materjaliza-
cji duchów podczas nocy „Dzia-
dów“. I stało się znakomicie.

Widzenie

księdza

Piotra

Fot. St. Brzozowski



Reżyser Schiller wydobył owe
wizje znacznie inteligentniej i su-
gestywniej: dźwięki, dymy, ognie,
światła, głosy — i wzrok wymowny
skupionego tłumu, który wskazuje
nam, gdzie widzi zjawę.

„Rewolucyjnemu“ ujęciu reży-
serskiemu Schillera odpowiadały
znakomicie dekoracje Andrzeja
Pronaszki, syntetyczne, wymagają-
ce od widza pewnego wysiłku fan-
tazji — a jednak w swej lapidarno-
ści niezmiernie wymowne. Bardzo
piękne, patetyczne niebo, i na tem
tle trzy krzyże — to była dekora-
cja stała, trwająca przez wszystkie
odslony. Fragmentaryczne uzupeł-
nienia, charakteryzujące miejsce
akcji, wstawiano przed każdą od-
sloną — i osiągnięto bardzo pro-
stymi środkami efekty doskonałe.
Tylko cela więzienna i mieszkanie
księdza — przestrzenie ciasne i
ściśle zamknięte, — sprawiały wra-
żenie fałszu pod tem bezgranicz-
nym niebem, które ani ciasnoty
więzienia ani zaciszości wiejskie-
go mieszkanka oddać w żaden spo-
sób nie mogło.

Z mądrymi, artystycznie wytrzy-
manymi dekoracjami nie harmoni-
zowały niestety kostjумы. Autor
ich skromnie zachował incognito.
Autora może zresztą wcale nie by-
ło. Kostjумы wyglądały, jakby je
wydobyto ze starej garderoby ope-
rowej — zwłaszcza suknie dam na
balu u senatora, niebardzo zdecy-
dowane co do epoki, niezupełnie
poinformowane co do stylu, tchnę-
ły jakimś naftalinowym pseudo-
realizmem, który nie miał nic
wspólnego z przemysłaną ekspres-
jonistyczną stylowością tła.

Równie niedociągnięte, jak ko-
stjумы, były maski aktorów. Tylko
ksiądz Piotr ze swym profilem Sa-
vonaroli, z fanatycznymi oczami ja-
snowidza — miał maskę harmoni-
zującą ze stylem Pronaszki.

Poza temi usterkami przedsta-

wienie stało na bardzo wysokim po-
ziomie. Pod czujnem kierownic-
twem Schillera aktorzy dali z sie-
bie maksimum wyrazu. Węgrzyn
w arcytrudnej i olbrzymiej roli, w
roli, gdzie co krok wzniosłość prze-
istoczyć się może w śmieszność —
był przez cały czas znakomity. Ani
jednego fałszywego akcentu, ani
cienia sztucznego patosu: olbrzymi
ból, który przybrał postać ludzką.
A w scenie z księdzem Piotrem
dwoistość tonu, niesamowita zmia-
na maski, epileptyczne skręty, no-
wy jakby cudzy głos — wyrażały
w sposób dojmujący rozdwojenie
osobowości. Wspaniała i wspaniale
zaigrana scena.

Wybitnie zarysował się również
Wierciński w roli księdza Piotra.
Nietylko wyrazista maska, ale pię-
kny głos, kamienny spokój zewnę-
trzny przy wewnętrznym ogniu,
który zdawał się spalać wizjonera,
powściągliwość ruchu, wymowa
spojrzenia — złożyły się na całość
roli, która zwróciła od razu oczy
publiczności na tego artystę. Gu-
ślarz znalazł w Buszyńskim wciele-
nie doskonałe: nienaganna dykcja,
świetny gest. Samborski był w swo-
im żywiole: jego denerwujący as-
matyczny oddech tutaj był właśnie
na miejscu. Bestję w ludzkim cie-
le, miotaną strachem i niskimi po-
pędami, odtworzył ze wspaniałym
realizmem. Rollisonowa w wykona-
niu Wysockiej miała niezmierny
ból matki, może tylko zbyt mono-
tonnie wygrała go na jednej nucie.
Reszta zespołu — kilkadziesiąt na-
zwisk na afiszu — dostroiła się do
głównych bohaterów. Nie było ani
jednej fałszywie postawionej roli.
Bacne oko reżysera czuwało w ka-
żdej chwili.

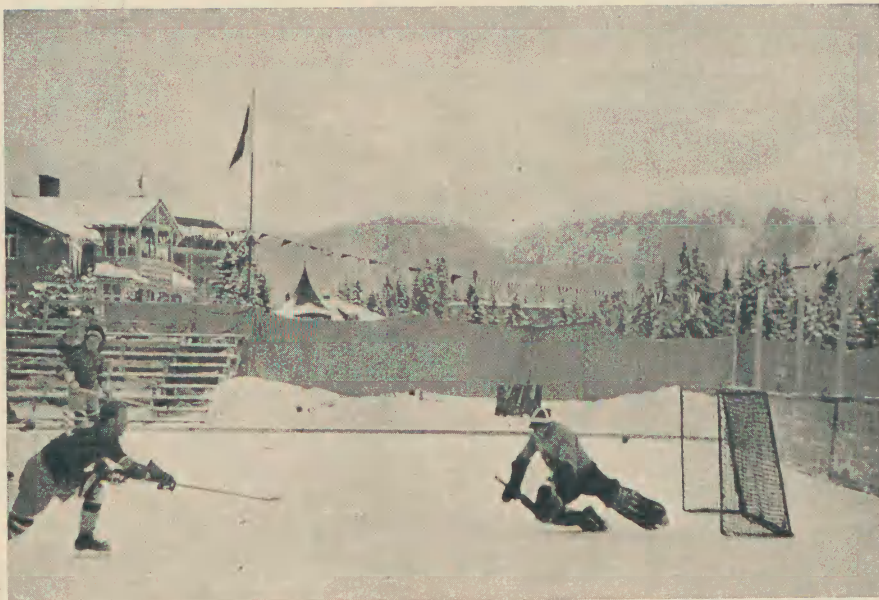
Niezwykła ta realizacja „Dzia-
dów“ powinna wejść do żelaznego
repertuaru naszych teatrów, jako
jedna z najcenniejszych jego po-
zycji.

Z. N. Ch.

POLSKI HOKEJ ZAGRANICĄ



Po zwycięstwie polskiej drużyny hockey-owej nad czechosłowacką drużyną „Spartę” w Arosie — bramkarz Stogowski otrzymuje od małej wielbicielki jego gry bukiet białych i czerwonych gwoździków.



U góry: Głowacki — doskonały strzelec naszej drużyny reprezentacyjnej, strzela pierwszą bramkę „Sparcie” — objechawszy obronę czechosłowacką.

U góry: W spotkaniu Niemcy — Polska w Davos po nieudanej robinzonadzie bramkarza niemieckiego — krążek wędruje do bramki niemieckiej

Na prawo: Po świetnym przejechaniu przez całą drużynę włoską Sokółowski pakuje krążek do bramki włoskiej, strzelając pierwszą bramkę (Davos).



W RYTM KROKU POLSKICH NARCIARZY...

W OBLICZU OLIMPJADY

Biała, młodzieńcza międzynarodówka — światowe narciarstwo przeżyło po Wojnie Światowej trzy swoje, co cztery odbywające się lata — olbrzymie Igrzyska. W roku 1924 w Chamonix, w r. 1928 w St. Moritz i wreszcie w 1932.

Ostatnia Olimpiada, urządzona w Lake Placid w Ameryce, niepokojąco już zwracała uwagę na szczupłą, lecz intrygującą, a zarazem budzącą respekt ekspedycję polską.

Albowiem odbywające się corocznie od roku 1926 Międzynarodowe Mistrzostwa Europy, czyli t. zw. Mistrzostwa F. I. S., wprowadziły pomiędzy niepokonanych dotychczas synów Europy północnej — Skandynawów i Finnów — pierwszego, niepokąźnego z wyglądu, lecz lwie ujawniającego pazury — Polaka, Bronka Czecha, który w czasie odbywających się na naszym terenie Mistrzostw F. I. S. a w Zakopanem — pamiętnej mroźnej zimy 1929 — zajął w kombinacji a więc konkurencji przynoszącej tytuł mistrza, 4-te miejsce w ogólnej klasyfikacji, tuż po Norwegach i Finnach. A przez to samo zdobył faktycznie przez wszystkich uznawany tytuł mistrza Środkowej Europy.

To też 7-me miejsce Br. Czecha na Olimpiadzie w Lake Placid, acz poprzedzone przez Czechosłowaka Bartona, utrwaliło jak najlepszy sąd narciarzy całego świata o ich polskich przeciwnikach.

Ale oto drugi już raz Polak wdarł się tryumfalnie w zbite szeregi Skandynawów i Finnów. W czasie bowiem zeszłorocznych mistrzostw Europy w samej jaskini lwa, w Solleftea — równie bodaj górskiej, jak Zakopane, miejscowości szwedzkiej, młodziutki, ledwie

20-letni Marusarz Stanisław, będąc w skokach trzecim, zdobywa w kombinacji 7-me zaszczytne miejsce, tuż po Norwegach, a przed wszystkimi gospodarzami — Szwedami, z których najlepszy Westman zajął dopiero 8 miejsce.

Po tak świetnie rozpoczętej karierze narciarskiej — stoimy w obecnym, ostatnim przedolimpijskim roku w dziwnym impasie organizacyjnym. Wydaje się wprost, jakbyśmy obecnie przechodzili głęboki kryzys w narciarstwie sportowym.

Wiadomo, że materiał, acz nie liczny na pokaz, posiadamy przecież — u szczytów — pyszny.

Bronek Czech, po pewnym okresie pewnego, lekkiego spadku formy, rozpoczął bodaj ponownie wracać, ale może do jeszcze wyższej, niż przed kilku laty, doskonałości sportowej. Wspaniale rozrosły, męźniejszą niemal z każdym miesiącem, wprost w oczach — Staszek Marusarz — rozmach, siły, ambicje i nadzieje ma obiecujące — ponad wszelką chłodną kalkulację. Tym dwom godnie sekundują Izidor Łuszczek, Karol Szostak i Andrzej Marusarz, stryjeczny brat Staszka i jego rówieśnik. Pięknie skacze Piotr Kolesar, a w maratonie może dojść do silnego głosu Karpel Stanisław, Skupień St., Górski M., Orlewicz... Ci dwaj też do kombinacji pójdą.

Istnieje dalej paru narciarzy, startem, wiekiem lub wynikami młodszych od wymienianych najlepszych, ale niewątpliwie godnych następców tamtych. Pierwsi w najbliższej Olimpiadzie odegraliby niewątpliwie ważną dla zaimplementowania naszego w narciarstwie światowym stanowiska — rolę, drudzy nabraliby szlifów międzynarodowego i nauczyliby się pewnie wiele od najlepszych — jeśliby wszy-

Ferdynand Goetel na trybunie sędziowskiej na Lipkach w Zakopanem. Obok z prawej dr. H. Szatkowski, nac. Wydziału Turystycznego Min. Komunikacji, z lewej Adam Krzeptowski, twórca filmów tatrzańskich, Andrzej Krzeptowski i Fr. Olbrychski.



Grupa narciarzy polskich, w Dolinie Pięciu Stawów: Bochenek, Czech, Wowkonowicz i Orlewicz
Fot. Olbrychski

scy teraz już u siebie prowadzili intensywne, do tych największych Igrzysk narciarskich — przygotowania.

Teraz, gdy zaledwie jeden rok dzieli nas od IV Olimpiady Zimowej — w Niemczech, a nasi najlepsi narciarze na Mistrzostwach Niemiec w Garmisch Partenkirchen zapoznali się z terenami tamże przygotowywanej Olimpiady — obowiązek nasz wspólny wobec „polskiej sprawy narciarskiej” — i w łonie władz narciarskich, P. Z. N. i w społeczeństwie, jakoteż w Państwie — powinniśmy sobie uświadomić plastycznie. A wówczas, gdy polski sztandar załopoce nad wielotysięczną i wielojęzyczną rzeszą międzynarodową na białych polach bezkrawych bitew i gdy zadźwięczą instrumenty obcej, dalekiej orkiestry tonami naszego hymnu narodowego, słuchanego z „pola” walk narciarskich przez całą przynajmniej Europę — powiemy sobie z dumą:

— Wraz z Bronkiem Czechem, Marusarzami, Łuszczkiem, Kolesarem, Orlewiczem, Górskim, Skupieniem, Karpielem — przypomnieliśmy się światu dobrze.

Dobitnie zademonstrowaliśmy sąsiadom ad oculos naszą tężyznę i sprawność fizyczną. A zarazem hart i dyscyplinę — moralną, bez których nie masz trwałego i wielokrotnego tryumfu mięśni, płuc i serca.

Zakopane.

Fr. Olbrychski.



Rzymski most w Missis

ANATOLJA

Asfaltową szosą wspinamy się w górę. Ostatni rzut oka na dwa miasta, tak dziwnie odrębne w swym stylu i stajemy do walki z prawdziwie dzikim bezdrożem Anatolii. Walka ta trwa cały tydzień, ale wychodzimy z niej zwycięsko.

Droga z Ankary do Gölbasi przypomina złą szosę. Teren górzysty, ruda, glina, zbocza pokryte zielenią laurów. Szybko zmienia się charakter pejzażu. Znika zieleni. Jedyna roślinność to suchy, drobny osot o barwie płowo - rudej. Góry i wzgórza przybierają formy pogniecionych poduszek i babek z piasku. Raz podchodzą do drogi tuż, to znów się oddalają, pozostawiając szeroki rudy step przed nami. Góry przybierają nietylko dziwaczne formy, ale jeszcze dziwniejsze barwy. Od intensywnie rudej przez płową, to znów mienia się wszystkimi tonami fioletu, inne są blade - błękitne, popielate, czarne, jak wygasłe kratery wulkanu, pokryte lawą i żużlem. Co jakiś czas z tej gamy barw wytryska olśniewająco biała plama złom marmuru.

W Bala, małym miasteczku, na uliczkach zawianych pyłem i na polach przydrożnych walają się sponiewierane okrychy kolumn i kapiteli z czasów rzymskich.

Typ chłopca, spotykany poprzednio na drodze, był uderzająco podobny do typu bułgara. Tu, o dziwo, odziany w zgrzebne płótno stoi u wrót glinianej chatki dostoyny rzymianin — Turek, tak jak i inni.

Dalej olśniewająco - biała droga, droga usypana z tłuczonego marmuru. Bokami intensywnie rude wzgórza, popękane białymi szramami rozpadlin. Szosa marmurowa jest piękna, ale straszliwa dla opon, jedzie się objazdem wrytym w żyznej glinie. Wąwozem raczej, niż drogą, marszyna idzie nachylona do drogi pod kątem prostym, koło wózka góra, motor na dole, bo inaczej wiesz podwozie na garbie koleinowym. Rola balastu jest w ta-

Ruiny koło Toptakatte



OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

kiej chwili bardzo ważna. Trzeba się dzieć na zewnętrznej poręczy wózka, trzymając się mocno ręką i cały ciężar ciała wraz z nogami wyrzucić na zewnątrz. Ta gimnastyka trwa całymi godzinami. Chwilami przestaje być nawet zabawną. Gorsze chwile są jednak wtedy, gdy niebacznie powróci się na coś, co teoretycznie na mapie nazywa się szosą. Raz to są białe lub różowe marmury — bynajmniej nieuwalowane, to znów umarła szosa o dziurach podobnych do przepaści, porośnięta ostem i rozchodnikiem. Najbardziej niebezpieczne są kawałki dobrej szosy. Wtedy po nabraniu rozpędu napewno wpadnie się na most, który już dawno przestał być mostem i zwisa, jak urwany łańchman, nad wyschłym łożyskiem strumienia, lub trzyma się kilku głazami, szczerząc zęby dziur wielkości motoru

W południe jemy naszą sakramentalną dunię i chleb u studni z białego marmuru. Wysoki drewniany żuraw i zamiast stołków rzucone dwa kapitele kolumn — korynckiej i doryckiej. Przychodzą osiołki do wodopoju, siadają chłopci anatolijscy, by sobie podjeść i wygapić się na cudzoziemców, tak bardzo dla nich egzotycznych.

Słońce zachodzi. W małym miasteczku prymitywny stary meczet. Stajemy, by się napatrzyć. Zatrzymuje nas policja. Przez tłum ponurych, sparaliżowanych żebraków przeciska się do mnie śliczny chłopiec. „Come sta signorina”. Po włosku, po serbsku zaczynamy paplać na wyścigi. Nasz nowy przyjaciel idzie pieszo z Belgradu do Adany i już od tygodni zapomniał, jak wygląda Europejczyk.

Nocleg w polu przed Kirsehir — przy małym szemrzącym strumyku. Pasemko wody przepływa wyłobionem w białym marmurze korytem i znika w zielonym mchu.

Ciszę nocną przerywają odległe i bliskie krzyki, śpiewy, nawoływania. Wytwarza to nastrój dosyć nieprzyjemny. Nazajutrz wyjeżdżamy na górę i tam wyjaśnia się powód hałasów nocnych. Jak okiem sięgnąć, stoją namioty robotników drogowych. Wrzask, zbiegowisko na widok motoru, wyjaśnienia na migi i po turcku, który objazd jest lepszy.

Przejeżdżamy przez Kirsehir jak zwykle oglądani przez parę godzin przez żandarmów i policję. I tu mamy problem przed sobą dosyć trudny. Za Mucur musimy zdecydować, kędy jechać. Na Arabsun bezdrożem, czy na Kaiseri szosą. Do szosy nie mamy zaufania, na Arabsun piętrzą się przed nami góry. Nadjeżdża auto. W niem dwóch panów uzbrojonych od stóp do głów. Stanowczo odradzają pomysł skrótu i upewniają, że do Kaiseri mamy cały czas świetną szosę. Decydujemy się usłuchać ich rady. O szoso — mo-

giło wszystkich naszych nadziei, może będziesz kiedyś świetną, ale już nie dla nas.

Droga idzie równym, nudnym stepem. Na odległych wzgórzach słońce kładzie błękitne cienie. Przed nami na horyzoncie lśni białą czapą śniegu szczyt Argée (4000 mtr.). Wjeżdżamy w łańcuch Erdi-jes przez wrota skalne po kamiennym moście

W piaskowej ścianie jaskółcze gniazda tak, jak w urwiskach niemeńskich, a gdy się zbliżysz podróżnikowi, staniesz długo zapatrzony — to wieś anatolijska tak, jak każda inna robiona z materiału, który jest najbliżej pod ręką. Więc w piaskowcu, w pieczarach wydrążonych przez wodę, na stepie i złożach marmuru, z gliny, w skałach zwietrzałych, z kamienia. Zdaleka tak się asymilują z kolorytem terenu, że nawet nie można się domyśleć, że to wieś. Zupełny brak zieleni potęguje wrażenie martwoty.

W tych wioseczkach praca wre cały dzień. Chłop orze ziemię sochą zaprzężoną w czarne bawoły, lub górskie krowy. Zboże młóci się na polu. Na saneczkach drewnianych siedzi chłop, a wół ciąga go wokółko po rozłożonym zbożu na ziemi. Potem na dużych drewnianych widłach przerzuca się zmłócone zboże na inne miejsce. Wiatr gra rolę wialni, ziarno spada bliżej, a plewy i słomę układa się w duże złote sterty. Następnie kobiety na dużych sitach ostatecznie oczyszczają ziarno. Miele się zboże we wsi: w dużym wydrążonym kamieniu rozciera je kobieta kamiennym młotem.

Siedemnaście kilometrów przez Kaiseri droga skręca pod kątem prostym na południe. Szlak znośny, upał nieznośny. Żółty pył osiada patyną na białych strojach, na twarzy, wciska się za okulary i do gardła. Pola zielone, winnice i drzewa. Ludzie żywsi, weselsi. Często spotykany koń juczny o cudownych pęcinach. Tu już jest trochę arabów.

Wjeżdżamy do miasteczka. Zdaleka ma się wrażenie, że to skały. — Otwierają się przed nami jakby wrota, grożąc rudym nawisem.

Jak okiem sięgnąć, zbudowane terasami domy i domki, jednolitej i brunatnej barwy, jak zbocza. Przez miasteczko płynie rzeka. Pod mostem i w brzegach skalnych wykute nory — to też są domy. Dalej znów płaskie zbocza, na nich winnice, laury, oliwki i rude bryzgi skał. — Cudownie — naprawdę zdaje się, że zaraz powieje zapachem morza, ale step znów bierze w swoje prawa.

Zasypany szabrem i kamieniami ośli szlak ostro wspiną się pod górę. Raptem ostatni wiraż i stajemy nad wprost bezdennym urwiskiem. U naszych stóp leży cały świat. Pastelowe szczyty gór, ciemne

przepaście i ginąca we mgle widnokregu szeroka zielona dolina. Słońce kładzie swe ciepłe błyski na błękitnej tafli rzeki. Spadamy w dół na wszystkich hamulcach. Szeroki płowy szlak wykuty w piaskowcu. Przeprawa wbród przez rzekę. Wjeżdżamy do jedynego na świecie miasta. Irgüp. Zdaleka krzyczę, że to starożytne ruiny, nie — to miasto wykute w piaskowcu. Całe domy, tunele, przejścia, ulice najdziwniejsze. Koronka architektury, łukowych sklepień i kolumnady. Znaleźliśmy ten nieznany ósmy cud świata. Chciałoby się zostać, dowiedzieć się od kogoś, kto i kiedy wykonał to arcydzieło. Wieki się złożyły na to pewno, ale nikt nic nie umie powiedzieć.

Za miastem w dalszym ciągu niesamowita rzeźba skał. Droga kuta w piaskowcu, jak stół. Złote i fioletowe blaski zachodu gasną. Płaskowzgórze opada terasami w dół. W purpurowej poświacie zachodu majaczą czarne sylwetki drzew. Zapada noc. Krajobraz nabiera tajemniczości. Drzewa jak rzędy czarownic stoją przy drodze, zeschnięte, powyginane, szyszające czarnymi otworami dziupli. Gubimy się w ciemności. I oto przed nami wyrasta niebotyczny szereg topoli. Jesteśmy nie na drodze, lecz w wyschłym łożysku jakiejś dużej rzeki. W białej poświacie księżyca nabiera ta dolina majestatu śmierci. Rozbijamy namiot na srebrnym piasku. Wilcza noc. Chłód nie daje zmrózzyć oka. O 3-ej zrana zwijamy swoje lary i penaty. Ręce sztywnieją z chłodu. Nakładamy na siebie wszystkie możliwe ciepłe ubrania. Brr... psio zimno. Nawet old england whisky nie dolewa ognia do żył. Palce przymarzają do metalowych części motoru.

Wreszcie wstaje blade słońce. Na drodze budzi się życie. Jadą nam na spotkanie turczynki na osiołkach, barwnie ubrane, w przezroczystych czarczafach na twarzy. Jadą na pole do pracy.

Otóż i miasteczko Yavashan. Nad miastem króluje ruina twierdzy Seldżuków. Wąskie uliczki bazaru przykryte dachem mat. Na rynku karawana wielbłądów. Wschód w barwach i nastroju. Kobiety o zupełnie zakrytych twarzach.

Pole szerokie i okropnie kamieniste. Droga zasypana głazami. Ruchome usuwa się, przez większe przenosimy motor. Idą długie karawany wielbłądów, prowadzone przez małego osiołka.

Karahisar. Miasto ulepione z brunatnej gliny, częściowo skała. Twierdza dziś jeszcze czynna. Dalej krajobraz ten sam. Góry opalizują coraz bliżej. Zbliżamy się do Nigde. Na drodze masa wojska. Wjeżdżamy do miasta na chwilę. Tu widzę po raz pierwszy na prowincji pretensjonalnie zeuropeizowaną turczynkę. Kapełusz i futurystyczny żakiet mimo upału. Uciekamy coby prędzej na szosę, bo opada nas banda ciekawych i wzbudzamy zbyt silne zainteresowanie policji.

Teraz do Ulukisla. Droga dobra. Nowa szosa szoruje serpentynami w górę.

Góry opalowe. Piękno, którego opisać nie sposób. Trzeba się z paletą w rękę i malować. Od błękitu nieba srebrne i popielate przechodzą w nieuchwytnie tony lila do ciemnego fioletu, rzucając na siebie wzajem granatowe i szafirowe cienie.

Sen jakiś niesamowity staje się rzeczywistością. Wspinamy się coraz wyżej. Potem dolina wśród szczytów, kamieniste bezdroże. Na halach pasą się stada owiec. Słońce chyli się ku zachodowi. Jedziemy niepotrzebnie do Ulukisla, po drodze płosząc piękne turkmeny. Jakiś przechodzień zwraca nas z drogi. Musimy zrobić skrót, by wrócić na szosę. Głazy i kamienie przebrnięte szczęśliwie. Zapuszczamy się w wąwóz. Wkraczamy w zaczarowane wrota Taurusa.

SZLAKIEM RUIN I GROZY

Taurus, góry antyczne, skarbie piękna, dzikości i grozy!

Droga wiję się głębokim wąwozem, nad urwistym brzegiem spienionego potoku. Nad nami czarne, bazaltowe złomy, skały spiętrzone w potęgę swego ogromu i grozy. Zapada noc. Zakręty coraz trudniejsze bez bandy i barjery. Na jednym z nich studnia sułtańska, przy ognisku obóz. Turbany, noże za pasem czerwonym, „wzrok dziki, suknie plugawe”. Dalej, tu spać nie można. Światło reflektora słabnie. Coraz straszniej. W pewnej chwili na zakręcie majaczy szara plama skrawek ziemi. Ruiny chatki. Zatrzymujemy się. Jest akurat dość miejsca nad przepaścią, by sprowadzić motor z drogi i rozbić namiot. Po paru godzinach ciemności wstaje jasna, cicha, księżycowa noc. Na drodze w czarnym cieniu skał nie widać nic. Słyszymy echo kopyt końskich, jakiś tęskny śpiew. Z mroku wyłaniają się sylwetki konnych arabów. Zsiadają z koni. Podchodzą. Pozdrawiają. Rozmawiają przyjacielsko na migi. Poszli. A przychodzi i oczy klei sen. Rano znajdujemy skalne przejście w dół do strumienia. Kąpiel pod dużym omszałym głazem. Woda tak zimna, że dech zapiera i rozpalamy igłami kłuje ciało.

Droga w dalszym ciągu idzie spletem ostrych wiraży. Są chwile, gdy czarne skały zamykają wąwóz; zda się, że wyjścia nie ma. Potok skacze po złomach bazaltu i białego marmuru. Równa wykuta w bazalcie ławka, gdy natrafi na złoże marmuru, staje się nie do przebycia. Przenosimy motor przez białe głazy. W ciągu całego dnia, w pocie czoła, nieraz i nie dwa wałąc się na ziemię z ostatecznego zmęczenia, robimy 80 klm.

Najpiękniejsze góry dzikie i niedostępne, każecie płacić sobie trudem i walką za łaskę podziwiania waszego piękna.



Pejzaż Anatolji

Docieramy do Bozanti. Czy było tam kiedy miasto — nie wiem. Dziś go nie ma. Góry łagodnieją w charakterze, łożysko strumienia rozszerza się. Ponad wodą stoją nieprawdopodobnie pogięte na konwulsyjnie poskręcanych korzeniach przedwieczne platany. A na skały wspina się tropikalny las. Splątane w kłębowisku zieleni rosną limby, tuje, cisy, bukszpany i laury.

Dolina rozszerza się coraz bardziej. Góry coraz niższe. Pod kołami wozu przemykają kuropatwy. Raz przy drodze wyrasta ogromna agawa, to znów figowy gaj. Jeszcze raz dzikie góry biorą nas w posiadanie. Znika zielen, samotne limby, brunatne i białe orły szybują nam nad głowami, — najcięższy wjazd. Motor odpoczywa dwa razy.

Przed wieczorem góry przechodzą we wzgórza pokryte gęstą szczotką laurów. Droga jest zła. Nieprawdopodobnie zła. Wyboista i kamienista. Właściwie pasażer wózka idzie pieszo, podbierając co większe kamienie. Spadamy terasami wdół. W blaskach zachodu otwiera się, jak okiem sięgnąć, szeroki step. W dali Tarsus. Charakter krajobrazu zmienia się zupełnie. Pola uprawne, olbrzymie plantacje bawełny. Dwukołowe olbrzymie wozy, zaprzężone w nieprawdopodobnie duże bawoły. Ruch. Dobrobyt. Kultura rolna. Droga rozjeżdżona, ale szosa. Dużo osiedli ludzkich.

Adana. Słoneczne, pełne ruchu miasteczko. Co krok jakieś biuro handlowe, banki, sklepy. Pełna życia, ładna i składowa jest ta stolica Małej Armenji. Utrzymała się przy życiu nie tak, jak mniejsze osady armeńskie w głębi Anatolji, — umarłe ruiny domów i zburzone kościoły. Tu po raz pierwszy i ostatni widzę naprawdę zakwefione kobiety. Chodzą w białych, lub rudych szatach z czarnym czarczafem, zakrywającym całkowicie twarz.

Na ulicy zawieram przyjaźń z małym uczniakiem. Rozmawiamy po francusku, studiując na mapie przebytą trasę. Zatrzymujemy się jeszcze kilkakrotnie w

Warowne mury w Anatolji



różnych punktach miasta. Chłopak przedziera się przez zwarty tłum, jest pierwszy przy wozie. W ostatniej chwili wciska mi coś do ręki. Naiwna fotografia z legitymacji szkolnej z podpisem. Tak — zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

Za miastem pole agaw. Przysiadły krzaczaste soczystą zielenią liści, rzadka strzelając w górę masztem kwiatu. Prawdziwe południe. Droga jest zła i coraz gorsza.

W Missis przejeżdżamy rzekę po prawdziwym rzymskim moście. Teraz nawet małe mostki są rzymskie. Dostaję zabytko - manji. W każdej studni, kamieniu przydrożnym, nawet w samej drodze dopatruję się pochodzenia rzymskiego.

Od Topra Kattę sytuacja pogarsza się znacznie. Co kilka kilometrów spotykamy ruiny wspaniałych zamków. Styl wczesnego średniowiecza. Kto je budował? czy rycerze Krzyżowi? Bedekera nie mam, a pytać nic nie pomoże. Każdy bu-

dynek, lub ruina w Turcji jest turecka i ma dużo lat.

Przez dwa dni gubimy się w laurowym stepie, znajdując drogę i znowu ją gubiąc. Jeszcze kilkakrotnie przejeżdżamy przez strumienie wbród i jesteśmy u stóp potężnej ruiny. Wspinam się na górę i tam przez łukowe okno widzę zdaleka morze. Nareszcie morze. Upał niedowytężymania. Walczymy z drogą aż do Erzin. Wioska tonąca w zieleni pomarańczowych i cytrynowych ogrodów. Kupić nie można nic.

Znów mamy przeprawę przez szkielet mostu, zawieszony na wysokości co najmniej 4-ch metrów. Przechodzimy pchając motor ostrożnie i co jakiś czas podkładając kamienie, lub deski dla załatwienia zbyt wielkich dziur. Nareszcie granica blisko. Dortyöl. Duże miasteczko. Załatwiamy formalności paszportowe. Do mnie podchodzą wojskowi, z ogromnym zainteresowaniem słuchając o przeprawie

przez Anatolję. Nie mają o tych drogach pojęcia.

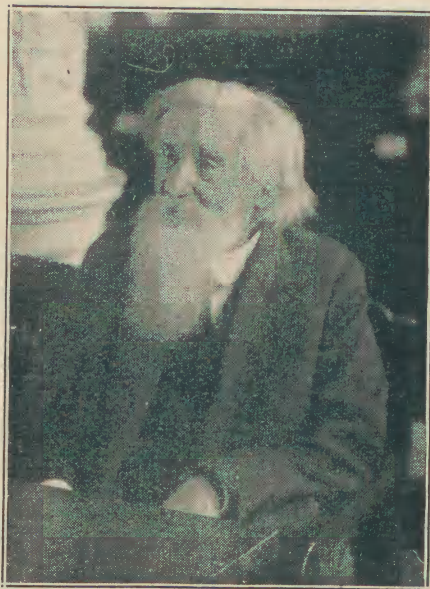
Zdaleka już wieże fortu odcinają się na intensywnie szafirowym tle nieba i wody. Payas. — Stary potężny fort, dziś w ruinie. Całe miasteczko wbudowało się w szczeliny tych murów. Granica w polu pod namiotem. Przetrzęsanie rzeczy jak zwykle trwa bardzo długo. Po zaiste rzymskiej drodze zbliżamy się do nowej granicy. Ostatnie spojrzenie na biały meczet Payasu i Turcja jest po za nami.

Żegnaj śliczna Anatoljo, piękna w swej pierwotnej dzikości. Chciałabym jeszcze raz wrócić w twe progi, nim kultura, idąca dużymi krokami, zmieni twe bezdroża na autostrady, a trochę dzikiego chłopca zrówna z farmerem niemieckim. Niestety, boję się, że nie zdążę.

Halina Korolec - Bujakowska

Alexandrette, dnia 6 października 1934 r.

TYDZIEŃ „ŚWIATA”



Bolesław Limanowski

Dnia 1 lutego zmarł w Warszawie, w setnym roku życia, b. senator Limanowski, najstarszy działacz socjalistyczny i

wybitny przedstawiciel ruchu wolnościowego.

Urodzony w 1835 r. na Polskich Inflantach, ukończył wyższe studia w Dorpacie, poświęcił się zagadnieniom społeczno - historycznym, uprawiając równocześnie działalność konspiracyjną. W r. 1861, powróciwszy do kraju, zostaje członkiem centralnego komitetu w Wilnie, kierującego akcją powstańczą. Wkrótce zostaje aresztowany i zesłany do gubernji Archangielskiej, gdzie przebywa pięć lat. Po amnestji przyjeżdża do Warszawy, pracując jako zwykły robotnik w fabryce, a w r. 1870 przenosi się do Galicji, skąd wkrótce zostaje wydalony, tułając się po całej niemal Europie przez lat z górą trzydzieści.

Po odzyskaniu niepodległości, bierze czynny udział w życiu politycznym, jako gorący zwolennik P. P. S., którą reprezentuje w Senacie.

Aktywna praca polityczna nie przeszkadza mu w działalności naukowej. Jest autorem „Socjologii” oraz szeregu dzieł społeczno - politycznych.

Z niepokojów naszej epoki

(jj) Generał Weygand, b. przewodniczący francuskiej najwyższej rady wojennej, osiągnąwszy przepisana „granice wieku”, przeszedł na emeryturę. Jak oświadcza w wywiadzie udzielonym paryskiemu „Le Journal”, zajmie się obecnie historją armji francuskiej. W tym samym wywiadzie gen. Weygand wypowiada kilka uwag o charakterze naszych czasów. Epokę dzisiejszą uważa za „niepokojącą”. Jeden z objawów niedobrych polegających na „przeroście” roli intelektualistów:

„Praca intelektualistów to analiza, „ankieta”. A w bilansie — zwątpienie. Dobrze, gdy w kraju są ludzie, którzy żywią wątpliwości, byleby nie było ich zbyt wielu. Ogół nie powinien składać się z ludzi przeżartych zwątpieniem, zagraża to bezpieczeństwu i zdrowiu kraju. Filozofja na swoim miejscu, praca na swoim. Obok filozofów muszą być ludzie czynu. Aby móc żyć, ludzie muszą zdecydować się na jakąś doktrynę, trzymać się jej, kierować się pewną regułą”.

Zapewne. Naturalnie. Reguły muszą być, doktryny i motory emocjonalne muszą działać. Ale pocieszymy się. Ludzi doktryny, tudzież fanatyków nigdy świata nie zabraknie, a „wątpiących” myślicieli świat nigdy nie będzie miał za dużo.

PAPIER DROŻSZY OD RADU

Wszyscy już dobrze wiedzą, iż rad uważany jest jako droższy znacznie od złota, platyny, brylantów i t. p., a jednak **mała kartka papieru** w postaci losu nabytego w kolekturze J. Wolanow, Warszawa, Marszałkowska 154, może przewyższyć i tę najwyższą wartość, przynosząc swemu posiadaczowi aż milion złotych.

Jeszcze jeden lekkomyślny!

Czytamy w prasie codziennej wiadomość następującą:

Mieszkaniec Opatówka Stanisław Tomaszewski, właściciel 28 morgowego gospodarstwa oraz wodnego młyna, uzbierał ze swych oszczędności 25.000 złotych, które przechowywał w woreczku pod kluczem w stoliku, obok swego łóżka. Pewnego wieczoru, gdy Tomaszewski wszedł do swego sypialnego pokoju, zauważył brak woreczka z jego zawartością. Policja wszczęła energiczne śledztwo. Złodzieja nie ujęto. Pieniądze przepadły.

Gdyby zamiast wierzyć w swoją „P.K.O. w młynie” młynarz zaufał był prawdziwej P.K.O. — miałby do dziś swoje pieniądze. Ale podobno na głupotę rady niema...

Na poniewierkę

(jj) Nowa tragedia: dola uchodźców z Zagłębia Saary. Ludzie ci skazali się na ciężkie wygnanie i niewiadome losy. Unikną zemsty rodaków, ale drogo przypłacą swoją postawę antyhitlerowską.

We Francji nie dostaną „karty pracy”, nie mogą więc marzyć o zarobku. Liga Narodów „nie znalazła” środków materialnych dla roztoczenia nad nimi opieki, czego domagała się Francja. Minęły też czasy, kiedy emigracja polityczna budziła żywą sympatię w tym czy innym kraju i kiedy emigrantom takim okazywano pomoc. Świat jest teraz twardy i zimny.

Jeszcze parę tygodni, a tragedia emigrantów z Saary będzie zapomniana.

Narazie przebywają w barakach, szopach i halach fabrycznych w kilku nadgranicznych miejscowościach francuskich.

A co dalej?

Dziennik paryski „Le Jour” donosi, że postanowiono utworzyć nowy pułk Legji Cudzoziemskiej, złożony z uchodźców z Zagłębia Saary. Jedno z wyjść — najmniej wesołe. I nie dla wszystkich.

Starodawne „vae victis!” odezwowało się i w tej sprawie nowych tułaczów politycznych.

Wzdłuż zaśniewzonego łuku Karpat

TRADYCYJNY RAJD NARCIARSKI.

Z nieopisanym zachwytem powracają rok rocznie z wspaniałego szlaku zimowego uczestnicy Narciarskiego Rajdu Kolejowego wzdłuż Karpat.

Dziesięć dni wędrówki po zaśniewionych, olśniewających słońcem dolinach lub groźnych stokach górskich. Dziesięć dni swobody, sportowych wysiłków i radości, wycieczek narciarskich, zabaw w uzdrowiskach i zimowiskach.

Rajd kolejowy wzdłuż Karpat — to zdrowa kuracja zdrowotna dla znużonych życiem w mieście, dla przemęczonych pracą, dla zdenerwowanych i przygnębionych.

Któż mógłby myśleć o „ciężkich” czasach, o troskach i kłopotach, gdy dookoła rozciągają się przepiękne góry i zielone lasy, tonące w białym puchu, gdy z nartami na plecach, lub na nartach suną wesołe gromady sportowców i turystów.

Od Worochty do Wisły — zaśniewony łuk Karpat daje oparcie licznym uzdrowiskom, w których uczestnicy rajdu zaznają mnóstwo przyjemności. Więc Worochta punkt wyjścia rajdowców w dniu 18 lutego b. r. — teren najpiękniejszych wycieczek na Czarnohorę, ośrodek barwnej Huculszczyzny z jej strojami ludowymi i oryginalną sztuką.

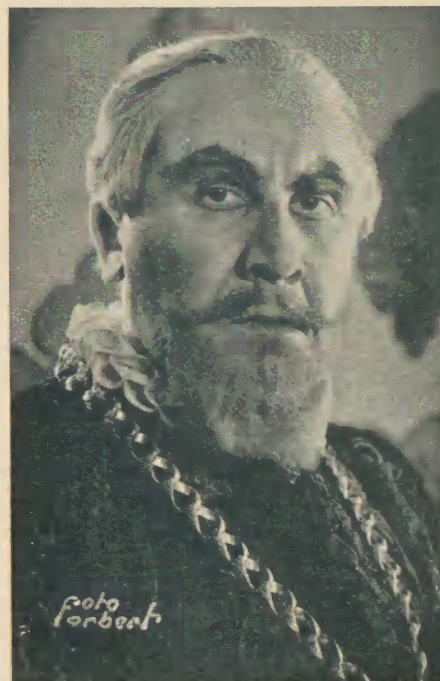
Potem Truskawiec — ślicznie urządzone uzdrowisko, otoczone pagórkami, łatwymi terenami i dla słabszych narciarzy oraz wieżami szybów naftowych w pobliskim Borysławiu i Drohobycz, wielkich ośrodkach polskiego zagłębia naftowego.

O Krynicy wiele mówić nie trzeba: jest w nim jeszcze bardziej urocza, niż w lecie. Tor saneczkowy, stadjon łyżwiarski i hokejowy, skocznia narciarska, roją się od młodzieży sportowej. Gwarem i wesołością brzmią sale dancingowe.

Uczestnicy rajdu po dwu dniach, spędzonych w Krynicy, zjeżdżają do Zakopanego, by podziwiać Tatry w śniegu, odbyć znowu parę wspaniałych wycieczek i nacieszyć się sportami: tor saneczkowy, stadjon hokejowy, łyżwiarski i hippiczny, skocznie narciarskie i skijöring dostarczają wrażeń w obfitości.

Zaciszna, sielankowa Wisła, ze swymi znakomitymi terenami narciarskimi, jest ostatnim etapem rajdu dla uczestników, znających Kraków i Wieliczkę. Inni goście, zwłaszcza zagraniczni, zwiedzą jeszcze w dniu 27 lutego b. r. starodawną stolicę podwawelską i słynne na cały świat saliny wielickie.

Z O P E R Y



ROMAN WRAGA

w świetnej kreacji króla Filipa w operze Verdiego „Don Carlos”, wystawionej z wielkiem powodzeniem w Operze Warszawskiej.

Złota wanna

(jj) Lekarze tureccy ofiarowali Kemalowi Paszy złotą wannę w dowód uznania za zasługi na polu higieny, położone przez dyktatora. Kemal nie przyjął cennego daru, polecił złotą wannę przetopić na sztaby i ofiarował je ministerstwu zdrowia na cele szerzenia higieny i budowy szpitali w Turcji.

Wielkie reformy życia obyczajowego w Turcji dzisiejszej zaczęły się właśnie od propagandy higieny. Jak we wszystkich krajach kulturalnie zacofanych, tak i w Turcji pierwszym znakiem nowoczesnego postępu była walka o higienę. Kemal Pasza nie żartował. Akcji uświadamiającej towarzyszyły mocne represje. Za uchybienia w tej mierze karano więzieniem. Skutki są dobre. W Turcji higiena społeczna stoi wysoko.

A wraz z tradycyjnym brudem znikają inne złe tradycje obyczajowe. Tak się dzieje zawsze.

Ilość zużytego mydła stanowi wszędzie niezawodne kryterium kulturalnego i cywilizacyjnego poziomu.

NA MARGINESIE KARNAWAŁU

Gdy sięgniemy pamięcią kilkanaście lat wstecz i przypomnimy sobie pierwsze powojenne bale, to na tle toalet pań, skromnych ale nieraz bardzo gustownych i pomysłowych, jakże mizernie przedstawiały się ubiory wieczorowe brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Na całej sali widziało się przeważnie parę fraków mocno przedwojennego kroju, kilka smokingów i zabytkowych żakietów, a poza tym tylko ubrania marynarkowe, nawet niezawsze czarne.

Mineło lat piętnaście i oto ta sama sala balowa przedstawia zgoła odmienny

widok. Przeważają fraki, smokingów niewiele, o marynarkach mowy niema.

Z powrotem utarło się przeświadczenie, iż strój wieczorowy dżentelmena nie pozwala mężczyźnie na wykazanie swej indywidualności.

Ulegając nakazom mody, frak wytwornego pana w bieżącym karnawale posiada znacznie dłuższą „jaskółkę”, a jedwabne kłapy — szersze. Kamizelka z białej piki, bez pleców, z wycięciem przodu w kształcie litery V. Koszule z gorsem na dwie dziurki, wobec wydłużenia wycięcia kamizelki. Kołnierzyk trochę wyższy, o nieco mniej rozchylonych kłapkach. Krawatka węższa, bardziej wydłużona.

Pedantyzm mody poprzednich lat — nakazujący, by krawat, gors i kamizelka posiadały identyczny deseń, nie mógł się ostać, ustępując nasuwającemu się logicznie zróżniczkowaniu.

I rzeczywiście, gruba materja kamizelki nie nadaje się wcale na małą wąską krawatkę.

Z kolei materiały wafłowe ustępują obecnie — jeśli chodzi o kamizelkę — grubej ukośnej pice i wszelkim innym wzorom o wyraźnym rysunku.

Rewelacją bieżącego sezonu było ukazanie się w angielskich magazynach kompletów frakowych, składających się z kamizelki z grubej białej weby, koszuli webovej z gorsem i przyszytym kołnierzykiem oraz krawatki i chusteczki — tak zwanej „pochette'ki” z lnianego batystu.

Do przeszłości należą obecnie skarpetki jedwabne. Dżentelmen nosi teraz grubszą, 3/4-ową skarpetkę, prążkowaną (do kolan) typu „selfix”. Skarpetki przezroczyste i cienkie są „mauvais genre”.

Całość wieczorowego stroju uzupełnia duży biały szal z białoczarным monogramem, klak lub „chapeau d'Opera”, laska hebanowa z małą gałką ze srebra, chromu lub platyny.

Wieczorowa biżuterja męska (spinki do gorsu i mankietów) może być wykonana z masy perłowej i chromowanego metalu lub prawdziwych pereł w platynie. Łańcuszek też chromowany. Złoto całkowicie wyszło z użycia.

Wszystkie te przepisy najdokładniej przestrzegane są w Anglii. High life Ameryki słabiej reaguje na ewentualne odstępstwa, dopuszczając nawet na większe bale i przyjęcia miast fraka — smoking, lecz zato z białą kamizelką i białą biżuterją, a tylko muszka pozostaje czarna.



Artykuły mody karnawałowej z firmy
A. Frencler Chemisier

BEZPŁATNE PREMJĄ DLA NASZYCH PRENUMERATORÓW kwartalnych i półrocznych

DRUGA LISTA:

„ROZMOWY Z MUSSOLINIM”

E. Ludwiga otrzymali:

- p. Karśnicka z Warszawy,
- p. St. Tokarski z Warszawy,
- p. Marja Drozdowicz z Warszawy,
- p. Kazimiera Lissowska z Piotrkowa Tryb.
- p. Jan Janas z Białegostoku.

„ZIEMIA ELŻBIETY”

P. Gojawczyński

- p. Kosztulski Stefan z Kleczewa,
- p. Al. Kwiek z Żychlina,
- p. A. Borzewski z Rypina,
- p. Mjr. W. Daszkowski z Warszawy,
- p. R. Sosnowski z Warszawy,
- p. Dr. Rottermund z Warszawy,
- p. L. Wańkowicz z Warszawy,
- p. Puchowicz Kaz. z Warszawy,
- p. Futasiewicz z Warszawy,

„ODWIEDZINY I SPOTKANIA”

J. Parandowskiego

- p. Węgrowska z Warszawy,
- p. Dr. Markert W. z Warszawy,
- p. Wolska z Warszawy,
- p. Bukowski z Warszawy,
- p. Dr. Becli z Torunia,
- Zarząd Klubu Urzędniczego w Postawach,
- Ks. Ludwik Czetwertyński z Żołudka,
- p. Dr. Walcher z Poznania,
- p. M. Kosiński ze Skierniewic.

„SWAWOLNA EUROPA”

P. Moranda

- Stowarzyszenie Prawników z Częstochowy,
- Polskie Zakł. Chem. „Nitrat” z Ujazdu,
- p. H. Makowski z Kruszwicy,
- Bibl. Kas. Urz. „Polmin” z Drohobycza,
- Bibl. 58 p.p. z Poznania,
- p. Z. Mossakowska z Żyrowic,
- Adm. Dóbr Oleszno,
- Bibl. Urzęd. Zakł. Ostrowieckich,
- Towarzystwo Kasynowe z Nowego Sącza.

PO DWA BEZPŁATNE BILETY DO CYRKU otrzymali:

- p. Wolfram,
- p. Skoczkońska,
- p. Juraczko K.,
- p. Łapczyński K.,
- p. Iwanowska Irena,
- p. Jachowicz Tad.,
- p. Martynow T.

ZE STOLIC SPORTÓW ZIMOWYCH



Grupa czołowych narciarzy polskich pod Krokwią.

Fot. Olbrychski



Fot. Olbrychski

ZAKOPANE KIP ŻYCIEM SPORTOWEM

U góry: Vivi Anne Hulten, mistrzyni Szwecji w jeździe figurowej, zdobyła mistrzostwo Zakopanego. Na zdjęciu Vivi Hulten i polska łyżwiarka E. Czorówna z Katowic.



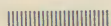
BRANKA-LUX

GORZKA

Czekolada
dla wybrednego Pana!

ZE ŚWIATOWYCH MISTRZOSTW HOKEJOWYCH W DAVOS

U góry: Wiceprezes Polskiego Związku Hokejowego, red. Leon Chrzanowski, wśród członków polskiej drużyny hokejowej, śledzi przebieg walki.



Na prawo: emocjonujący moment meczu Polska — Niemcy: Stogowski znakomicie broni.



ANGLICY O KOBIETACH

Kilka lat przed wybuchem wielkiej wojny zatonał na pełnym morzu transatlantycki okręt. Z tej katastrofy uratowało się trzech misjonarzy i dwuletni chłopczyk. Wylądowali na odludnej wyspie, którą trzej Europejczycy: Anglik, Niemiec i Francuz skolonizowali, poczem zajęli się edukacją chłopca.

Po dwudziestu latach, spędzonych wśród tubylców i mając w perspektywie powrót do krajów cywilizowanych, postanowili misjonarze uświadomić młodego wychowanka i rzucić światło na problem kobiety. Anglik miał pewne wątpliwości, czy wogóle dżentelmeni mówią o kobietach, ale Francuz i Niemiec zapatrywali się inaczej na ten temat, przeto Anglik został przegłosowany:

— Kobiety istnieją poto, ażeby je czcić i wielbić — zaczął *Reverend Eustace*, podczas trzeciego wykładu na ten skomplikowany temat — a ta cześć wyraża się w Anglii w najrozmaitszy sposób. Na przykład: imienia kobiety nie wymawia się nigdy w palarni klubu. Prócz tego mężczyźni otwierają kobietom drzwi i przepuszczają je przed sobą. Zdejmują również na przywitanie kobiety kapelusze, o ile ta kobieta nie jest ich żoną, matką, lub córką. Otaczają kobiety tkliwą opieką, nie wyłączając matek, gdy są stare i żon, gdy są młode. Jednym słowem, Anglik spogląda na kobietę, jak na przedmiot godny największego uwielbienia, dopóki oczywiście nie ożeni się z nią.

— A jak potem spogląda na kobiety?

— Na obce wogóle już nie spogląda, jako że jest ożenionym mężczyzną.

— Więc resztę życia spędza, uwielbiając własną żonę?

— Oczywiście... chociaż następne lata mogą przynieść pewne utemperowanie. W Anglii kobiety nie żądają, nie lubią nawet, ażeby ich mężowie uzewnętrzniali swoją miłość, cześć i uwielbienie. Uchodzą to w czasie zaręczyn i przez cztery miesiące po ślubie, ale później uważa się za brak smaku i dobrego wychowania.

— ?...

— Kobiety są z natury rzeczy skromne, nieśmiałe i wstydliwe. Widok przemocy fizycznej doprowadza je do omdlenia. Inteligencja ich nie jest silniejsza od nerwów. Angielka nie posiada żadnych innych ambicji prócz tej, by pozostać tam, gdzie ją (nieopatrznie) postawił Anglik, to jest na piedestale. Chce być tylko matką budowniczych państwa w największym państwie świata!

— Kobiety — rzekł pastor Schmi! —

są najprostszym problemem w mało skomplikowanym świecie. Wybierasz sobie kobietę — każda będzie odpowiednia, więc nie zastanawiaj się zbyt długo, bierz pierwszą z brzęga — i żenisz się z nią, a potem wprowadzasz ją do kuchni i tam ją zostawiasz. Wszystkie kobiety są szczęśliwe w kuchni, o ile kuchnia jest jej własnością. Powinieneś widywać się z nią od czasu do czasu i skarżyć się, że zupa była za zimna lub pieczeń spalona; a kiedyindziej możesz pochwalić jej wychny gospodarskie. Wierząc mi, że oboje będziecie szczęśliwi. Miejsce kobiety jest w kuchni...

— Kobiety są boskie — rozpoczął swój wykład misjonarz francuski.

— Boskie?

— Jak ptaki, kwiaty i wszelkie dzieła sztuki. Nie istnieje żaden problem kobiety, tylko kobieta i życie, kobieta, która koncentruje w sobie wszystkie tajemnice świata. Czasem cię znienawidzi, bo ją kochasz — niemniej musisz ją kochać. Inna znowu gardzi tobą, a kochasz ją również. Mogą cię nienawidzić, gardzić tobą, nie ufać ci, litować się nad tobą, śmiać się z ciebie, lub płakać nad tobą — ale kochając je, nie popełnisz największej zbrodni, która spycha mężczyzn na dno piekieł.

— A jaka to jest największa zbrodnia?

— Nie znać i nie kochać kobiety. Słuchaj chłopcze: może ci się będzie zdawało, że każda z nich jest inna? Wszystkie są podobne do siebie, więc nie staraj się być inny dla każdej z nich. Niemniej musisz być subtelny, bo one są niesubtelne, musisz być zmienny, bo one są niezmiennie. Gdy kobiety uśmiechają się do ciebie, świat jest rajem, a gdy uśmiechają się do kogoś innego, świat jest piekłem, przeto musisz starać się, ażeby uśmiechały się do ciebie. I wierząc mi, że czas poświęcony na te starania nie będzie stracony.

— Nawet po ślubie?

— Nie mówiłem o małżeństwie, ale o miłości. Szczęście nie leży w małżeństwie, ani w powodzeniu, ani w bogactwie, lecz w miłości. Dobry Bóg stworzył kobietę, ażeby nas kusiła, czarowała, doprowadzała do szału, była źródłem natchnienia, bawiła nas, znęcała się nad nami, jednym słowem, żeby nas czarowała. *C'est tout*.

Takie trzy snopy światła na problem kobiety rzuca arcydowcipny pisarz A. Macdonell w swojej ostatniej powieści „Jak anioł”. Warto by to zestawić z tem, co mówi na temat wiecznie kobiety B.



Nichols, najpopularniejszy feljetonista — bożyszcze Angielek.

Zaznaczyć należy, iż Nichols nie jest zadowolony z współczesnej kobiety (a może tylko z swojej rodaczki), mówi, że nie potrafią dać szczęścia, bo są egoistkami i nie potrafią kochać, gdyż tej sztuki uczą się od kobiet (dobre rady mamy, przyjaciółek, literatek) a nie — od mężczyzn. Nichols jest kawalerem, więc w małżeństwie widzi wiele uroków. Żeby jednak sprecyzować te uroki, w jednym z feljetonów o filozofii małżeńskiego pożytku pisze:

Cobym dał żonie?

1. Bibliotekę: Przedewszystkiem poematy romantyczne — romantyzm jest pożądanym w życiu codziennym. Utwory sióstr Bronte — niech wie, że istnieją pewne formy miłości, które są straszne, i niech obejmując wzrokiem pewne wyżyny, które tworzy mężczyzna, a które ona powinna odwiedzać od czasu do czasu. „Opowieści starych kobiet” — ażeby przypomnieć jej, że są brutalni mężowie. „Źródło samotności” — ażeby wzbudzić w niej współczucie dla nieszczęśliwych sióstr. Sztuki Maughama — ażeby przebaczała mi drobne zdrady małżeńskie i nawet uważała je za szkodliwe. Freuda, o podświadomości, ażeby mogła wytłomaczyć sobie wiele rzeczy.

2. Lustro. I to lustro postawione w najostrzejszym świetle. Niech się dobrze pozna.

3. Szpinet — bo cicho gra. Niech się nauczy cicho grać, mówić i myśleć.

4. Zapisalby ją do klubu kobiecego. Lżby nauczyła się cenić własny dom i oduczyla feminizmu...

5. Bilet powrotny do Manchesteru. Manchester jest piekłem! Cztery i piąty upominek dla mojej żony są przykremi upominkami — ale cel (pedagogiczny) uświęca środki.

6. Dobrą książkę do gotowania.

7. Odkurzacz.

8. Perłę. Nie naszyjnik z pereł, ale perłę po perle do naszyjnika, a każda z nich byłaby symbolem szczęśliwych chwil naszego pożycia małżeńskiego...

(h).

KOSMETYKA PANI ZOJI

W KARNAWALE

Buzia zmęczona nadmiarem maquillage'u, niedospaniem, a nade wszystko przebywaniem w dusznych nieraz zadytmionych salach dancingowych — staje się szarą, wyblakłą, zmęczoną.

Jak przywrócić świeżość i jędrność skóry — gdy karnawał długi i może jeszcze nieraz trzeba będzie gdzieś wystąpić?

Otóż ponieważ wygląd ten spowodowany jest w pierwszym rzędzie brakiem powietrza — dla tego, kto dowolnie rozporządza swoim czasem — najlepiej wyjechać na 2—3 dni gdzieś w podwarszawskie okolice i spacerować na świeżym powietrzu wolnym krokiem, wdychając tlen i wentylując płuca. Jeżeli ktoś nie ma tyle wolnego czasu, a jest sportowcem — w okresie balowania powinien zrobić wypad narciarski, również bodaj w okolice Warszawy; w szerokim polu, w ruchu — płuca odbywają podwójną pracę i szybko wyrzuca przykre zmęczenie. Dobrze też zrobić spacer samochodem za miasto, gdyby jednak i to nasuwało trudności — proszę wziąć zwykłą „dryndę”, ubrać się ciepło, zawiązać nogi kocem i kazać się zawieźć na most (my w Warszawie dobrze wiemy, że do spacerów służy piękny most Poniatowskiego). Jechać należy wolniutko i korzystać z tlenu nad obszarem Wistylę, głęboko wdychając powietrze.

Taki jeden drugi spacer zbawiennie wpływa na zwiędłą i zmęczoną skórę — lekki rumieniec szybko występuje na policzkach, skóra wygładza się i zdobywa chwilowo utraconą elastyczność.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi Redakcji:

Pani Krytoliakowa w Inowrocławiu. W tym tygodniu wyjdzie z druku w barwnej szacie nowy katalog, omawiający wszystkie preparaty kosmetyczne oraz metodę pielęgnacji **ELOE-BORYSZEW**, który Pani chętnie przysłemy i który dostarczy Pani żądanych wiadomości.

Pani K. P. Na zmarszczki pod oczami, jeżeli Pani niewygodnie używać kremu w dzień przy bardzo suchej skórze, polecamy **ELOE-MOLINUM**. Na czystą skórę przed snem wcierać lekko paluszkami krem **MOLINUM** i pozostawić na skórze przez całą noc — najbardziej zastarzałe zmarszczki znikną wkrótce. Koniecznym również jest zwrócić Pani uwagę na sposób mycia; dla suchej, zwiótczałej skóry otrybki są szkodliwe; najnowszym środkiem do oczyszczania skóry jest krem **ALBI**, który w 100% zastępuje mydło, delikatnie oczyszczając, pielęgnując skórę. Bezwzględnie radzimy Pani przed myciem wodą stosować krem **ELOE-ALBI**. Wszystkie preparaty może Pani otrzymać za zaliczeniem pocztowym.

Pani Z. W. z Włocławka. Spierzchnięte ręce, aby doprowadzić do dobrego stanu, należy parę razy dziennie myć gorącą wodą, dobrze osuszać i smarować kremem **ELOE-BONA** — po tygodniu ręce nabiorą miękkości, wybielają, opierzchnięcie ustąpi. Na zwiótczenie biustu, spowodowane karmieniem, posiadamy cudowny środek **ELOE-JUNO**.

Wszystkie informacje o preparatach **ELOE-BORYSZEW** otrzymać można: Mińska 25, tel. 561-20, Warszawa.

Zapytania o porady kosmetyczne kierować należy: Salon Zoja, W-wa, Służewska 4.

„KĄCIK PRAKTYCZNY”

DLA GŁODNYCH BRYDŻYSTÓW

Brydżyci nie lubią przerywać gry dla najlepszej nawet kolacji — a ponieważ długotrwałości bridge'a nikt nie potrafi przewidzieć, bywają bardzo głodni. Jeżeli niema innych, nie grających gości, gospodyn może i im dogodzić i sobie ująć kłopotu, zastawiając pod jedną ścianą lub w jednym rogu brydżowego pokoju zimną przekąskę, którą każdy z wychodzących kolejno może się pokrzepić. Ostatecznie, jeśli stolików jest więcej, niż jeden lub dwa i miejsca na stół z przekąską brak, może się on umieścić i w innym pokoju, chodzi głównie o to, aby nikt nie potrzebował myśleć o ciągłym dostarczaniu jedzenia grającym i nikt im w sprawowaniu misterjum brydżowego nie przeszkadzał. Pani domu wszak też gra w bridge'a, a służąca kręcąca się pomiędzy stolikami i wciąż pytająca, czy czego nie potrzeba, jest najgorszą z plag brydżowych.

Przekąskę można ułożyć na przykład w sposób następujący:

Ostre kanapki:

Malusie kromeczki bułki posmarowane masłem, nałożone krążkiem jajka na twardo i paskiem anchois lub śledzia, królewskiego ulika.

Ryba w galarecie:

Kilo sandacza lub łososia (środkowe dzwona) ugotować w smaku z włoszczyzną, obrać z ości i skórki, podzielić na nieduże kawałki, zalać galaretą ze smaku, w którym się gotowała ryba, zaprawionym żelatyną (2 listki na szklanke płynu). Do tego:

Sos tatarski:

Żółtko na twardo i żółtko surowe, łyżeczka musztardy angielskiej lub domowej, pół szklanki oliwy, sok z dużej cytryny ucierać razem, oliwę lejąc po kropli. Dodać dwa spore korniszony, łyżkę kaparów jaknajdrobniej usiekanych. Z tym samym sosem można jeść roastbeef upieczony według przepisu w numerze 4 „Świata”, doskonale ostudzony, pokrajany w jaknajcieńsze płatki; każdy płatek zwinąć w rolkę. Półmisek z roastbeefem ubrać chrzanem struganym, kartofelkami zaprawionymi oliwą i kwasem ogórkowym, połówkami jaj na twardo, grzybkami marynowanymi, listkami rozponki lub innej sałaty sezonowej.

Surówka owocowa:

Trzy duże jabłka renety, utarte na grubej, jarzynowej tarce, trzy pomarańcze, pokrajane w cienkie plasterki, dwa banany równie cienko pokrajane. Wszystko posypać obficie cukrem — pudrem i utartą na tarce skórką pomarańczową. Trzymane na lodzie do chwili podania i polane przed samym podaniem kieliszkiem marasquino lub likieru pomarańczowego.

Parę talerzyków z cienko pokrajanym



W zimie szczególnie organizm dziecka wymaga wzmocnienia i uodpornienia, gdyż w tej porze roku, nawet lekkie przeziębienie spowodować może niebezpieczną dla zdrowia komplikację. Emulsja Tranowa f. Scotta zawiera obfitujący w witaminy A i D tran leczniczy, oraz hipofosfit wapnia i sodu. Dzięki temu wzmacnia ona wydatnie organizm dziecka, pobudza apetyt, wzmacnia wzrost i powoduje przybieranie na wadze. Dzieci chętnie przyjmują Emulsję



Tranową Scotta, gdyż jest przyjemna w smaku i lekkostrawna. Żądajcie zawsze prawdziwej Emulsji Tranowej wyrobu firmy

SCOTT
& BOWNE S. A.
WARSZAWA

Cena od Zł. 2.-

chlebem i bułeczką. Masło w kulkach, Butelka wódki, butelka Vermouth'u lub portwejnu. Dużo talerzyków, sztućców i kieliszków. Herbata i kawa tylko na żądanie, wyrażone dzwonkiem, i stawiane na uboczu, nie obnoszone dokoła stołów. Zupelna cisza dokoła — możność obmyślenia najbardziej podstępnych kombinacji.

Pani Elżbieta.

Do Krynicy—na „Święto Zimy”!

Dziesięć dni atrakcyj zimowych w pięknej Krynicy czeka uczestników „Święta Zimy”, organizowanego przez Polski Związek Narciarski w dniach 4—13 lutego r. b.

ORBIS we wszystkich oddziałach i agencjach wydaje karty uczestnictwa w cenie po 4 i 6 zł., zależnie od odległości przejazdu i udziela informacji.

Uczestnicy „Święta Zimy” korzystają z 66% indywidualnych zniżek kolejowych, z licznych zniżek w Krynicy, z wolnego, lub ulgowego wstępu na zawody sportowe. W czasie Święta Zimy przewidziane są: Narciarski bieg 50 km. o mistrzostwo Polski i saneczkarskie mistrzostwa Europy, zawody narciarskie i hokejowe.



Na lewo: Scena zbiorowa z „Rozbitków”. Na dole: dyr. Stoma w roli Dziendzierzyńskiego. Na prawo: Lili Zielińska w roli Gabryeli.



TEATR MIEJSKI W BYDGOSZCZY

Teatr Miejski w Bydgoszczy wystawił ostatnio komedię J. Blizińskiego „Rozbitki” w inscenizacji Adama Grzymały-Siedleckiego i w reżyserji St. Dąbrowskiego. Świetny utwór Blizińskiego znalazł na scenie bydgoskiej doskonałą realizację i według zgodnych głosów prasy wystawienie jego jest prawdziwą chlubą kultury teatralnej w Bydgoszczy.

Na pierwszy plan wybiły się kreacje Dyr. Stoma (Dziendzierzyński), Dąbrowskiego (hr. Kotwicz), Balickiego (Strasz) dzięki doskonałej plastyce rysunku psychologicznego figur. Niemniej i role kobiece były trafnie obsadzone: Szambelancowa w interpretacji p. Podgórskiej i uroczą Gabryelę w świetnym wykonaniu Lili Zielińskiej. W innych rolach wystąpili p.p. Łukowska, Morozowiczowa, Wieczorkowska, Dytrych, Dzwonkowski i Wilamowski.

Z FILHARMONJI

w piątek dnia 15-go lutego r. b. o godz. 8-ej wiecz. odbędzie się

WIELKI KONCERT SYMFONICZNY

z udziałem

Orkiestry Filharmonji Warszawskiej,
Jascha Horenstein (dyrekcja),
Karol Szymanowski (fortepian).

W programie:

Beethoven — 5-ta symfonia,
Szymanowski — 4-ta symfonia,
Debussy — Popołudnie fauna.

A N O N S.

W piątek 22 lutego r. b. o godz. 8-ej wiecz. odbędzie się Festival ku uczczeniu 125-ej rocznicy urodzin F. Chopina,

z udziałem:

ORKIESTRY FILHARMONJI
WARSZAWSKIEJ

W. Bierdiajew (dyrekcja),
Solisci: Z. Rabcewiczowa, B. Kon, W. Łabuński, J. Śmidowicz (fortepian).

W programie utwory Chopina:

1. Koncert fortepianowy e-moll (Z. Rabcewiczowa),
2. a) Warjacje na tematy „Don Juana”
b) Fantazja na tematy polskie (J. Śmidowicz),
3. Polonez Es-dur (W. Łabuński).
4. Koncert fortepianowy f-moll (B. Kon).



ANECDOTY TEATRALNE

Przed przedstawieniem w teatrze inspicjent siedział cały dzień w restauracji, gdzie zawarł znajomość z jakimś przygodnym sąsiadem.

Nie mając serca rozstać się z nowym przyjacielem, zaciągnął go ze sobą do teatru.

„Cywil” fatalnie przeszkadzał w pracy inspicjentowi, który i tak miał utrudnione zadanie przez nadmiar spożytego alkoholu. Po pierwszym więc akcie zaprowadził gościa na „sznurboden”, („sznurownia” — urządzenie nad sceną z całym szeregiem wazkich kładek i galeryjek), aby stamtąd obserwował sztukę. Po przedstawieniu zamierzali wrócić do knajpy.

Gość, rozmarzony ciepłem i półmrokiem, panującym na „sznurbodzie”, zasnął jak kamień.

Po skończeniu przedstawienia inspicjent zapomniał o towarzyszu bachanalji i poszedł do domu.

Trzeba trafić, że poprzedniego dnia w teatrze był incydent, dzięki któremu nocny stróż, który co godzina obchodził wszystkie kąty w teatrze w nocy, został poturbowany przez złodziejaszków, jacy dostali się do wnętrza gmachu przez wyjętą szybę.

Stróż zaopatrzył się w szablę, pożyczoną z rekwizytorni i starożytny pistolet. Tak uzbrojony obchodził z latarką ręczną cały teatr, aż trafił na kładkę nad sceną, gdzie spał przyjaciel inspicjenta.

Można sobie wyobrazić przerażenie nagle obudzonego człowieka, który po wytrzeźwieniu narazie nie miał pojęcia, skąd się tu wziął na wążutkiej kładce, nad czarną przepaścią, oko w oko z drabem, uzbrojonym w szablę i pistolet.

Nic dziwnego, że narazie dostał szału i na policji ubrano go w kaftan bezpieczeństwa.

Na drugi dzień podczas próby szeroko komentowano nowy wypadek włamania (i to tak zagadkowego) do teatru.

Inspicjent, usłyszawszy tę całą historję, nagle wszystko sobie uprzytomnił. Uderzył się w czoło, zaklął i czempredziej taksówką pojechał do komisariatu uwolnić ofiarę fatalnego nieporozumienia.




Decydując się na podróż, rzuć okiem
na informacje o komunikacji lotniczej!!!
Samoloty kursują codziennie



Pomaga
w przebiegnięciu
ta mała tabletką
ASPIRINY
Do nabycia we wszystkich aptekach.

NANCY HALE.

WIOSNA NA PINCIO

(nowela)

Dnia 28 stycznia r. b. rozstała się z tym światem ś. p. Karola z Mücków Neumanowa, wdowa po ś. p. Hugonie Neumanie, znanym w szerokich kołach m. Warszawy obywatelu i przemysłowcu. Zmarła przedstawiała, coraz — niestety — rzadszy, typ prawdziwej matrony polskiej, kapłanki ogniska domowego w całym znaczeniu tego słowa.

Będąc głęboko religijną, szczerą patriotką, miłującą Ojczyznę całym swym sercem gorąco dla Niej bijącym, obdarzona krystaliczną prawością duszy, wzięła sobie za cel życia wychowanie swych dzieci na dzielnych obywateli kraju, piastujących godnie szczytne miano synów Ojczyzny - Polscy, i z zadania tego wywiązała się chlubnie.

O zgasłej matronie można powiedzieć słowami poety, że: „była piękna i dobra zaklęciami”.

Zgon ś. p. Karoli Neumanowej okrył ciężką żałobą dwóch synów Hugona i Stefana, dwie córki Jadwigę Eisertową i Romanę Łagodzińską wdowę po ś. p. Kazimierzu Łagodzińskim, D-rze chemii, profesorze politechniki warszawskiej, wnuków, wnuczki, prawnuka i prawnuczkę.

Cześć Jej świetlanej pamięci.

Kurs wyszkolenia pracowników Orbisu

W niedzielę, 3 lutego, o godz. 12 w pol. odbyło się w lokalu Touring Klubu (Kredytowa 5) otwarcie 3-miesięcznego Kursu Wyszkolenia dla urzędników i praktykantów Polskiego Biura Podróży ORBIS.

Na kurs zapisało się 120 słuchaczy.

ORBIS, podejmując pierwszą tego rodzaju akcję w celu wyspecjalizowania fachowców, działa w myśl swych celów: podniesienia poziomu turystyki i wzorowego obsłużenia publiczności w biurach i na wycieczkach ORBISU.

Coś się miało stać. Stara, stara pani Carpenter - Carstairs potrząsnęła chytrze swoją piękną, siwą głową; wiedziała, że coś się stanie, a jej córka i wnuczka sądziły, że jest za stara, zanadto zagubiona w mrocznych snach starości, aby to pojąć. Ale ona wiedziała... Potrząsnęła tą ongiś śliczną, ongiś sławną głową i zaśmiała się cicho i mądrze. Przeczuciwała — oczekiwała na coś, co jej córka i wnuczka ukrywały przed nią przez cały dzień.

Stara pani Carpenter-Carstairs siedziała w swoim apartamencie, w skrzydle pałacu córki. Stare, ongiś zachwyt wzbudzające ramiona dźwigały wspaniałą suknię z blade lila brokatu, na białych włosach spoczywał półksiężyc cienkiej koronki, a na zwiędłej, lecz jeszcze białej szyi, krzyżyk ze złota i sztyldkretu. Małe rączki złożone były na kolanach. Siedziała nieruchomo i składała, dopasowywała swoje podejrzenia, bardzo sprytnie, jak się jej zdawało. Czemuż np. ma zejść teraz do córki na obiad proszony, kiedy zazwyczaj perswadowała jej, że to dla niej za męczące? Dlaczego są takie podniecone z tego powodu? Co się ma stać? Dlaczego ubrali ją tak starannie, czemu nałożyli na stopy te małe lila pantofelki ze sprzążkami z brylancików? Czemu? Sądzą, że jest za stara, że ma za słabą pamięć, aby to wszystko zauważyć. Myślą, że pamięć straciła.

Biała główka uniosła się na zwiędłej szyi. Nie zapomniła. Nie zapomniła, że ona jest Lily Carstairs... Lily Carstairs. Piękniejsza niż jej córka i wnuczka kiedykolwiek będą. Nigdy — myślała — nie będą miały jej wdzięku, jej rączek i nóżek. Żadna z nich nie będzie znana jako piękność — jako... jakże to mówiono?... aha, „duma dwóch kontynentów”. Czy tańczyły kiedykolwiek z książętami krwi? W beładnych wspomnieniach długi, błyskotliwa przeszłość stanęła jak blade mgiełki przed pięknymi oczami Lily Carstairs. Sława, przepych, zabawa, intrygi, muzyka, szampań, wielbiciele...

Myślała z pogardą o córce i wnuczce. Sądzą, że coś da się ukryć przed jej wzrokiem.

Ukryć, ale co? Co to jest, co chcą przed nią ukryć? Mój Boże, co? Ach tak, przypomniawszy sobie chytrze i z wielkim triumfem, coś bardzo niezwykłego stanie się dziś wieczór.

A oto córka, w białych atlasach i z trenem, przyszła po nią, żeby ją sprowadzić na dół na obiad. Aż bije z niej to dziwne, hamowane podniecenie.

Kiedy córka ją pocałowała, Lily Carstairs zacisnęła usta; nie była jeszcze zdziwiona, czuła, że coś się święci.

— Mamo kochana, wyglądasz tak ślicznie. Czy zejdiesz teraz? Jest ktoś na dole, kogo napewno będzie ci bardzo przyjemnie zobaczyć. Ktoś bardzo dystyngowany i godny, prawdziwie wielki pan.

Więc udawały, że to dlatego. Jak gdyby to było coś nadzwyczajnego dla Lily Carstairs — Lily Carstairs — zobaczyć pana, choćby nie wiem jak dystyngowanego. O nie! — myślała, schodząc po schodach, oparta o ramię córki — jeszcze coś ukrywają, ale nie oszukają jej, o nie...

Jakiegoż to staruszka prowadzi ku niej, aby go przedstawić; takiego starego dziada — omal się nie zachnęła, nie lubiła nigdy starych panów.

— Mamo droga, przypominasz sobie pana de Vries, naszego byłego ambasadora w Italji. Pamiętasz go, mamo, nieprawdaż? — nalegała córka, spoglądając na nią przytem tak dziwnie.

— Naturalnie, przypominam sobie — czując gniew i urazę, Lily wyciągnęła rękę wyniosłą, z zaledwie cieniem swego niegdyś sławnego uśmiechu.

Czy pamięta? — myślała sobie, podczas gdy stary pan mówił, mówił coś bezustanku swoim gładzącym głosem. Przeszli do sali jadalnej, usiadł przy niej przy stole i też nie przestawał rozmawiać.

Czy pamięta? — naturalnie, że musi go pamiętać, ale — prawdę mówiąc —

Soir de Paris

PARFUM

POUDRE

EAU DE TOILETTE



BOURJOIS
PARFUMEUR PARIS

s. przedst. na Polskę i w. m. Gdańsk D/H.J. Hosiasson, W-wa, Trębacka 4

Konkurs zespołów salonowych Rozgłośni Polskiego Radja

RADJOSŁUCHACZE MAJĄ GŁOS!!!

Polskie Radjo w szeregu swych imprez konkursowych organizuje jeszcze jedną w dniu 14 lutego o godz. 21.00 (czwartek). Będzie to konkurs zespołów w rozgłośni Polskiego Radja. Każdy z zespołów w przeciągu 10 minut odegra trzy utwory o różnym charakterze. Wykonania te poddane zostaną krytyce radiosłuchaczy, którzy wydadzą opinię o usłyszanych zespołach. Trafne opinie zostaną odznaczone nagrodami. A zatem uwaga! Radiosłuchacze mają głos!



PERFUMY,
MYDŁO,
WODA
KWIATOWA,
PUDER.
ŻĄDAĆ
WSZĘDZIE.

jeśli ten stary dziad wygląda trochę obco, trochę... jakby zupełnie nieznajomy... to tylko z tej przyczyny, że to jest właśnie taki typ, na który nie byłaby nigdy uwagi zwróciła. Czy oni sobie wyobrażają, że Lily Carstairs musi pamiętać każdego zgrzybiałego ambasadora, ongiś kłęzącego u stóp tego tronu, na którym świat ją posadził.

Ależ rozmowny!... Nienawidziła starości. Przechwalał się w starczem zdziocinieniu.

Siedziała bardzo prosta, bardzo wytworna i pozwoliła mu opowiadać sobie o Europie. Jej mówić o Europie. Cóż to on mówił tym swoim drżącym głosem, co?

— ...Rzym w kwietniu. Ach, jakaż cudowna wiosna była na Pincio. Ona i ja... Szkoda, że nie mogę przypomnieć sobie jej imienia. Wiem tylko, że była cudna. Chodziliśmy tam, byliśmy zakochani. Jakże ona się nazywała?... — potrząsnął bezradnie głową. — Pamiętam dobrze jej śliczne małe stópkę, biegające po zielonej murawie ogrodów.

Jakie dziwnie różowe mgiełki przeszłości stanęły jej przed oczami. Rzym... i

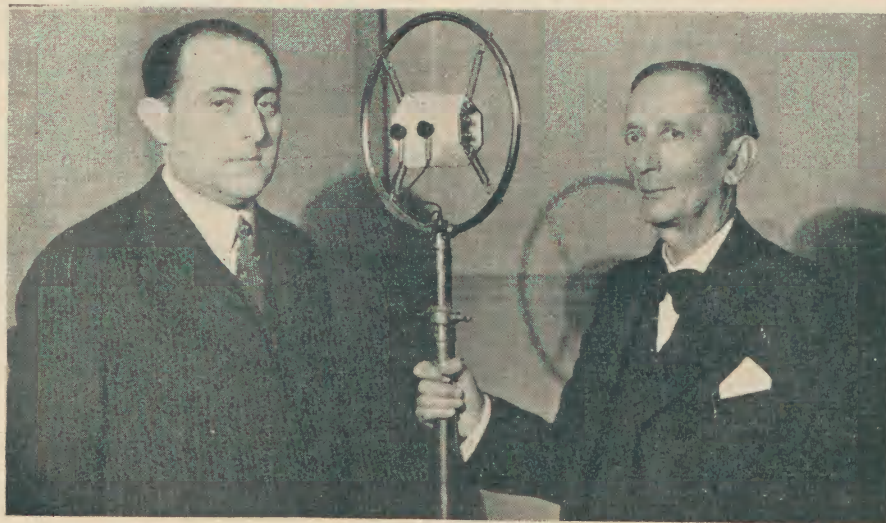
Pincio... i miłość... To była część jej przeszłości, ale tak zwiewna, tak zamglona teraz. Część jej cudnej, jedynej przeszłości. Co ten stary głupiec wiedział o takich promiennych dniach chwały, szczęścia i blasku. To właśnie tam w Rzymie, chodząc po ogrodach Pincio, była tak niewymownie, tak strasznie zakochana, wówczas. Wówczas to była najpiękniejsza ze wszystkich, największa miłość. I ten stary grzyb mówi jej o miłości na Pincio. Odezwała się prawie ostro:

— Znałam niegdyś Rzym bardzo dobrze. I Pincio. Kochałam się tam w bardzo przystojnym młodym mężczyźnie. Nazywał się—ach nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. Ale to było uczucie naprawdę piękne. Będę zawsze o niem pamiętała. Przysięgliśmy nigdy o sobie nie zapomnieć.

Dając odpawę staremu ambasadorowi, przestała go słuchać, pozwalając myślom odbiec od niego daleko. Pamiętać i pamiętać... Ach, tyle jest zawsze do pamiętania. A przede wszystkim musi o tem pamiętać, że coś ma się dziś stać, coś przed nią ukrywają.

przełoż. W. Peszkowa.

„MILJONERZY PRZED MIKROFONEM”



Liczni abonenci radja mieli możność wysłuchania w dn. 30 ub.m. wywiadu, którego właściciele dwóch ćwiartek obdarzonego przez Fortunę milionem złotych N-ru 72.450, pp. Urbach i Prowalski, udzieliłi przedstawicielowi rozgłośni warszawskiej. Rycina nasza uwieczniła chwilę, w której p.p. U. i P. przemawiają do mikrofonu.

MODNE TKANINY **CWEJKO** TANI SPRZEDAŻ

CHRONI OD ODMROŻENIA
UDELIKATNIA I WYBIELA ZNISZCZONE
RECE
KREM PRAŁATÓW **PERFECTION**

OSTROŻNIE Z LOTERJAMI ZAGRANICZNYMI!

Surowa odpowiedzialność za udział w takich loterjach

Jedną z podstawowych cech każdego prawodawstwa jest zasada „nikomu nie wolno wymawiać się nieznajomością prawa”. Istnieje cały szereg przepisów prawnych, mało znanych, których przekroczenie pociąga za sobą przykre konsekwencje. Między innymi mało znane są przepisy, dotyczące loterii i gier hazardowych. Niektóre z tych przepisów mają na celu obronę interesów graczy przed wyzyskiem, inne zaś ponadto obronę interesów Skarbu Państwa przed stratami.

Takim przepisem jest art. 114 Ustawy Karnej Skarbowej, który brzmi:

Winni.....

- b) uczestniczenia w jakiegokolwiek działalności loterii obcokrajowej na obszarze Państwa Polskiego ulegają karze pieniężnej od 500 do 20000 zł. i karze pozbawienia wolności od 2 tygodni do 6 miesięcy, a ponadto karze konfiskaty losu i t. d.

Z punktu widzenia interesów Skarbu Państwa, loterie obcokrajowe są szkodliwe, gdyż wpływają ujemnie na bilans dewizowy.

Ponadto gracz nie ma żadnej gwarancji, czy dane przedsiębiorstwo pomimo szumnej nazwy, nie jest kombinacją oszukańczą, zmontowaną jedynie dla wyciągania pieniędzy z kieszeni naiwnych.

Po rozmaitych loterjach, opartych na kombinacjach zagranicz-

nych wyścigów konnych, ostatnio jakieś podejrzanе przedsiębiorstwo, pod nazwą „La Coloniale — drapacz chmur”, rozsyła po Polsce okólniki, zredagowane w języku polskim, odbite na powielaczu, proponujące nabycie losów.

Charakterystycznym jest, iż prowizja kolektorska wynosi 25%, wyraźnie dwadzieścia pięć procent. Jest to suma tak fantastycznie wysoka, iż każdy nawet najmniej inteligentny amator grania zrozumie, iż tkwić tu musi coś bardzo niejasnego.

Pozatem zaznaczyć należy, że w pojęciu prawa, jak to wyjaśnił Najwyższy Sąd w wyroku z dnia 16 kwietnia 1934 (3 K. 200/34), Zbiór Orzeczeń Sądu Najwyższego Nr. kolej. 237, uczestnictwem w działalności loterii państwowej jest nie tylko posiadanie losu loteryjnego, ale nawet rozpowszechnianie wiadomości o jakiegokolwiek loterii.

W interesie więc każdego jest zabezpieczenie się przed wszelkiego rodzaju przykrościami, w sposób zupełnie łatwy: otrzymując ofertę i t. p. jakiegokolwiek loterii obcokrajowej, należy ją, wraz z kopertą, w której była otrzymana, bezzwłocznie przesłać do Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej pod adresem: Warszawa, ul. Długa 50.

W ten sposób spełni się nie tylko obowiązek obywatelski, ale samego siebie uchroni od przykrych następstw.



OSSAN W CZASIE KRYZYSU

tembardziej musimy uważać, ażeby kupiony produkt odpowiadał celowi.

Środkami do higieny jamy ustnej niezawodnymi i nieszkodliwymi są: pasta do zębów i woda do ust z przepis D-ra Med. Zapałowicza „OSSAN”. Wyrób Laboratorium

K. & A. MIKLASZEWSKI, Kraków



CHÓR JURANDA ZAGRANICA

Znany i utalentowany kompozytor, a zarazem twórca „Chóru Juranda”, p. Jerzy Jurand udaje się niezadługo ze swoim zespołem na występy zagranicę, organizując tournée po wszystkich niemal stolicach europejskich.

FUTRA TYLKO Z FIRMY **JULJA UJEJSKA** **NOWY ŚWIAT 29**

Wskazania
choroby wątroby
kamienie żółciowe
złaprzemianamaterji

CHOLEKINAZA
H. NIEMOJEWSKIEGO

Sprzedaż
Skł. gł. Nowy Świat 5
Apteki i Składy apt.
brozury bezpłatnie

BIAŁE ZĘBY? MYDEŁKO DO ZĘBÓW PASTA NA ELIKSIERZE CHERYS

CO NIOSA FALE RADJOWE?

PIERWSZE WYKONANIE PIESNI ŚLĄSKICH NAGRODZONYCH NA KONKURSIE POLSKIEGO RADJA Wtorek — 21.00.

O Wielkopolsce współczesnej
piątek — 18.45.

Jascha Horenstein i Beveridge Webster
piątek — 20.15.

Stanisław Staniewicz gra utwory
Paderewskiego
sobota — 18.15.

To karnawał!!! aud. Muz.
sobota — 20.00.

W 26-ą rocznicę śmierci
Karłowicza — koncert
niedziela — 12.15.

Morze w muzyce i pieśni
niedziela — 16.20 i 20.00.

„Ziola i Kamienie” Teatr Wyobraźni
niedziela — 18.00.

„Warszawa przed półwiekiem w anegdocie Prusa”
poniedziałek — 19.30.

„Godzina starych tańców”
poniedziałek — 15.45.

Jerzy Czaplicki
wtorek — 15.45.

„Czarni” — reportaż muzyczny
środa — 16.00.

Janina Romanówna
czwartek — 19.30.

Wzorowe Kursy



Kosmetyczne

Dr. Biernackiej i Dyr. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

DR. MICHAŁEK-GRODZKI Chirurg-Plastyk
OPERACJE KOSMETYCZNE

Złota 3 (lecznica) 1—2 i 5—7 g.

FABRYKA TRYKOTAŻY
JAN MATUSZEWSKI
magazyny detaliczne
102 MARSZAŁKOWSKA 154
33 CHMIELNA, 40 NOWY ŚWIAT

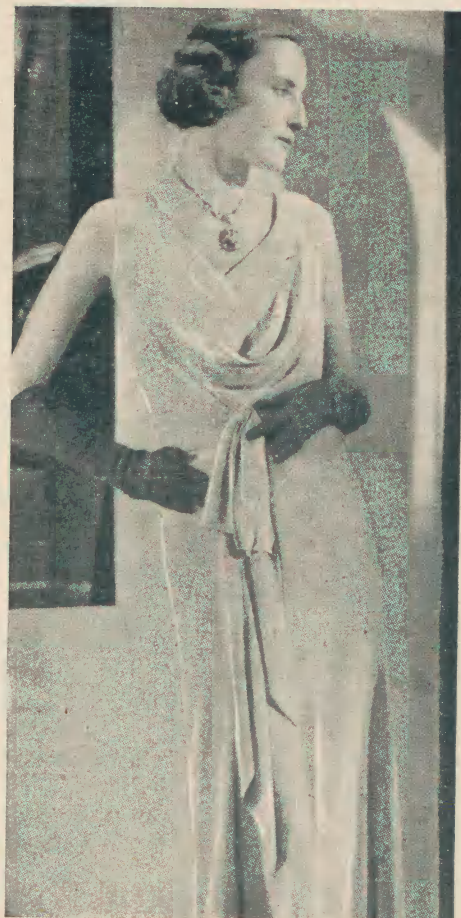
WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO **HEMOROIDOM**.
WYNIK KURACJI ŚWIADCY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA.
ŻOPKI „VARICOL” GĄSECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓŁACH, KRWAWIENIU,**
SWĘDZENIU, PIECZENIU I INNYCH OBJAWACH
HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MAŚĆ „VARICOL”**

„VARICOL” GĄSECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

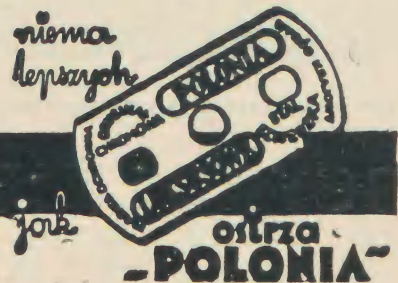
z marką „MOTYL”



MAGISTER **W. KASPRZYCKI**
WARSZAWA, PIUSA XI 30



Moda karnawałowa



Gruźlica płuc jest nieubłagana i co-
rocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku
i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bron-
chitu, grypy, uporczywego, męczącego
kaszlu i t.p., stosują pp. Lekarze „BAL-
SAM THIOCOLAN AGE”, który, uła-
twiając wydzielanie się płwociny, usuwa
kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie
chorego. Sprzedają apteki.

OLŚNISZ SWĄ URODĄ
używając
niezrównanych Kosmetyków
CORINNE-PARIS

KREM · PUDER
„DERNIER CRI”

używają

WYTWORNE
ELEGANCKIE
PANIE



WYSTARCZY RAZ DZIENNIE
upudrować się pudrem Dernier Cri
wyrobu firmy Szach, gdyż puder ten
przykleja ściśle do twarzy i trzyma
się kilkanaście godzin.

J. SZACH

gum...?
OLLA
klejnot higieny

CODZIENNIE od godz. 7-ej wiecz.

DANCING W WINIARNI ZIEMIAŃSKIEJ JASNA 5
JEDYNE ORYGINALNE SZASZŁYKI KAUKASKIE I BLINY Z KAWIEM. KOLACJE KLUBOWE 1.50 zł.



TAN	KOSZ	RATY
TAN	ZIMA	GON
TAN	LUG	REK
TAN	EKS	PAR
TAN	AZJA	AS
TAN	SOL	WOP
TAN	RO	METYS
TAN	LAN	IA

**Nr. 11 (412) Przesuwanka
karnawałowa**

Ułożył „Zeus”
(Za rozwiązanie 7 punktów)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

W każdej trójce podanych wyrazów poprzysuwać litery, tak, żeby otrzymać 8 nowych słów, których początkowe głoski, czytane pionowo ku dołowi, dadzą aktualne rozwiązanie.

Nr. 12 (413) Zadanie kolumnowe
(Za rozwiązanie 3 punkty)

1	-	-
2	-	-
3	-	-
4	-	-
5	-	-
6	-	-
7	-	-
8	-	-
9	-	-
10	-	-
11	-	-
12	-	-
13	-	-
14	-	-
15	-	-

W daną figurę należy wpisać poziomo 15 pięcioliterowych wyrazów o podanym znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Pierwsze zadanie karty w grze,
- 2) Staromodne perfumy,
- 3) Potomek Europejczyka i indjanina,
- 4) Rzeka we Włoszech,
- 5) Przeklinała,
- 6) Styl architektoniczny,
- 7) Miasto w środkowej Europie,
- 8) Stolica europejska,
- 9) Rodzaj kwiatostanu,
- 10) Więzienie paryskie, założone za Ludwika Filipa,
- 11) Tłuszcz roślinny,
- 12) Słowo,
- 13) Spona, zwora,
- 14) Kaczka młoda,
- 15) Pierwszy człowiek w mitologii skandynawskiej.

Nr. 13 (414) Metamorfozy

(Za rozwiązanie 6 punktów)

W zdaniach:

- 1) A I DYONIZY RADWAN ODDA,
- 2) DAM CI WINO, TELESKOP, SIEKIERĘ...
- 3) WIDZI ŁAPY SĘDZIEGO NA GÓRNYM GRODZIE,
- 4) GWIRBHA WIADRO CIECZE,
- 5) YPOLDA PROSZA DO MEKKI
- 6) PRZEZ OŁUCE DO ZAGAJNIKA,—
poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstało sześć znanych przysłów polskich.

ORYGINALNE PROSZKI
„MIGRENO-NERVOSIN” R.N.W. N°1599
ZN.FABR. **KOGUTEK**
SA ŚRODKIEM KOJĄCYM BÓLE
ZASTOSOWANIE:
**BÓLE GŁOWY; ZĘBÓW, MIGRENA, NEURALGIA, GRYPA
i PRZEZIĘBIENIA, BÓLE STAWOWE, KOSTNE, ARTRETYCZNE itp.**
ŻĄDAJĄCE W APTEKACH PROSZKÓW ZE ZN.FABR. „KOGUTEK”
W ORYGINALNEJ OPAKOWANIU PO 5 PROSZKÓW.
UŻYĆ: W RAZIE POTRZEBY 1-2 PROSZKI DZIENNIE.

FILHARMONJA WARSZAWSKA

KUPON № 4
ze zniżką 50%

Ważny na Koncert Symfoniczny
dn. 15 Lutego 1935 r.

Uprawnia do nabycia w kasie Koncertowej do godz. 7.30
w dniu Koncertu, biletu dla jednej osoby ze zniżką 50%,
od pełnych cen danego Koncertu

„ŚWIAT” Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel. Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowym). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoś-
niem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 14

ze zniżką 30%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie
z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie tea-
tru do godz. 7-ej wiecz., o ile
wolnych miejsc starczy, w dniu
przedstawienia, biletu dla jednej
osoby ze zniżką 30%, od pełnych
cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM”

KUPON № 14

ze zniżką 50%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie
z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie tea-
tru do godz. 7-ej wiecz., w dniu
przedstawienia, biletu dla jednej
osoby ze zniżką 50%, od pełnych
cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 14

ze zniżką 50%

Ważny od 8/II do 14/II r. b. włącznie
z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie tea-
tru do godz. 7-ej wiecz., o ile
wolnych miejsc starczy, w dniu
przedstawienia, biletu dla jednej
osoby ze zniżką 50%, od pełnych
cen danego przedstawienia.



TANIE ŹRÓDKO

ŻYRANDOLE
I LAMPY
ELEKTRYCZNE

ŻELAZKA ELEKTRYCZNE
CZAJNIKI
KUCHENKI
MASZYNKI DO KAWY

ELEKTROMEDYCYNĄ
LAMPY
KWARCOWE

MATERJAŁY
INSTALACYJNE

WŁASNA PRODUKCJA



BRACIA BORKOWSCY

S. A.

ZAKŁADY ELEKTROTECHNICZNE • WARSZAWA •

GROCHOWSKA 45 • AL. JEROZOLIMSKA 6 • BRACKA 12
POZNAŃ • AL. MARCINKOWSKIEGO 23 — KATOWICE • STAWOWA 9
IWÓW • AKADEMICKA 7 — BYDGOSZCZ • GDAŃSKA 22